8 października 2026 NR 236 (18629)

81 LAT CZWARTEK UKAZUJE SIĘ OD 1945

Sport



G.O.A.T.!

Wydanie cyfrowe ISSN 3072-0575 Wdanie papierowe ISSN 0137-9305

Z DRUGIEJ STRONY



Michał Zichlarz

Młodzieżowe deja vu

W czerwcu 2019 roku młodzieżowa reprezentacja Polski walczyła w turnieju Euro do lat 21 na włoskich stadionach nie tylko o czołowe miejsca, ale też o olimpijską nominację. Wcześniej w eliminacjach nie przegraliśmy meczu, a Dawid Kownacki z 11 bramkami był najlepszym strzelcem. Awansowaliśmy po barażach z Portugalią, po 0:1 u siebie w Zabrzu i sensacyjnym 3:1 na terenie rywala. Młodzi Nawigatorzy mieli w swoim składzie takich graczy, jak Joao Felix, Fernandes, nieżyjący już Diogo Jota czy Yuri Ribeiro. My, oprócz Kownackiego, mieliśmy Szymona Żurkowskiego, Patryka Dziczka, Bartosza Kapustkę i Kamila Grabarę między słupkami.

Finałowy turniej we Włoszech zaczęliśmy od pokonania Belgii 3:2 i gospodarzy – Włochów – 1:0. Medal stał otworem, śniły się nam pierwsze piłkarskie igrzyska od 1992 roku, od pamiętnej Barcelony, po czym na ziemię sprowadziła nas Hiszpania w meczu w Bolonii rozegranym 22 czerwca 2019 roku, wygrywając aż 5:0! Miała w składzie takich strzelców bramek, jak Fabian Ruiz czy niesamowity Mikel Oyarzabal - dziś świeżo upieczeni mistrzowie świata seniorów. Był też Dani Olmo. Gdzież więc są teraz tamci Hiszpanie, a gdzie my – nie trzeba mówić...

Rok temu byłem na Słowacji na młodzieżowych mistrzostwach Europy. Jeździłem na mecze do niedalekiej Żyliny, gdzie w naszym meczu otwarcia graliśmy z teoretycznie najsłabszym zespołem w grupie C – Gruzją. Przed turniejem wiele mówiło się o naszych szansach. Niektórzy zapowiadali, że jedziemy po medal, a co najmniej po walkę o czołowe lokaty. W drużynie prowadzonej przez Adama Majewskiego, który przed samym turniejem przedłużył kontrakt z PZPN-em, nie brakowało niezłych graczy. Był będący wtedy w formie Mariusz Fornalczyk, a także zawodnicy, którzy liznęli już seniorskiej reprezentacji: Kacper Kozłowski, Patryk Peda, Dominik Marczuk. Z Gruzją na dzień dobry przegraliśmy 1:2 (fatalny błąd Michała Rakoczego w doliczonych minutach). Potem? Już tylko lania: 0:5 z Portugalią i 1:4 z Francją. Szybki powrót do domu, a zaraz potem PZPN zdecydował o... zwolnieniu trenera Majewskiego, z którym dopiero co kontrakt przedłużono.

Teraz? Teraz w eliminacjach było znakomicie, bo zgadzały się gra i wyniki. Już dało się słyszeć, jak prawie 34 lata temu: „zmieniamy szyld i jedziemy dalej". O nie, nie tędy droga! Piłka młodzieżowa a dorosła to dwie inne rzeczywistości, choć zastanowić się trzeba, czy 21-letni gracz to jeszcze młodzieżowiec, czy już chłop... Przecież w wielu kadrach zawodnicy w tym wieku stanowią o sile pierwszej reprezentacji. To jednak inny temat.

W poniedziałek w Pescarze Italia sprowadziła nas na ziemię i oby ponownie nie było tak podczas finałowego turnieju w Serbii i Albanii w czerwcu przyszłego roku. Do czołówki wiele nam brakuje. Właśnie rozmawiałem z Ryszardem Komornickim, byłym świetnym reprezentantem Polski, który zjadł zęby na szkoleniu młodzieży. Wie, co mówi w tym względzie, i nie gryzie się w język. Choć piłkarskiej młodzieży i talentów nam nie brakuje, to jednak dalej nie pracujemy jak trzeba. Jak mówi, nie brak nam cech wolicjonalnych, bo jest serce, walka, zaangażowanie, ale brakuje kreatywności, pomysłu z przodu, co tak nam unaocznił smutny poniedziałkowy wieczór – zarówno młodzieżowej, jak i pierwszej reprezentacji Polski.



Fot. Kasia Dzierzynska / PressFocus

Młodzieżówki polska i włoska obie nawzajem spektakularnie się ograły, ostatecznie obie zagrają w finałach ME.

Najważniejsze, że awansowaliśmy

Rozmowa z **Markiem Motyką**, byłym trenerem m. in. Górnika Zabrze i Korony Kielce



Zakończenie jest szczęśliwe, bo jako najlepsza drużyna z drugich miejsc awansowaliśmy na EURO, ale przegrana 2:6 na koniec eliminacji zachlapała nam niemalże krystaliczny obraz kadry U-21.

– Czasami, żeby zrobić dwa kroki do przodu, trzeba zrobić jeden w tył. Wszyscy już tak bardzo byliśmy zachwyceni grą reprezentacji Jerzego Brzęczka, że jako pewnik braliśmy wygraną na wyjeździe z Włochami. Sam zacząłem się zastanawiać, czy my naprawdę jesteśmy już tak mocni, że nawet remis nas tam nie interesuje? Wcześniejsze mecze powodowały, że czuliśmy się bardzo pewnie, a dostaliśmy brutalne zejście na ziemię. Nie robiłbym z tego jednak wielkiej tragedii, bo czasami taki mecz jest potrzebny, aby nabrać trochę pokory. Ta drużyna jest ciekawie prowadzona i ma dobre wyniki. Włosi jednak nie są frajerami i sprowadzili nas na ziemię. Teraz pewnie już trochę inaczej będziemy podchodzić do kolejnych meczów. To są nadal bardzo drastyczni zawodnicy (lub: najlepsi w swoim roczniku). Trzeba w nich inwestować, bo taka jest kolej rzeczy.

Jak wytłumaczyć to, że w dziewięciu meczach straciliśmy dwa gole, a w ostatnim sześć?

– To jest rzeczywiście bolesne. Świadczy to o tym, że zawodnicy w obronie zagrali radosny futbol i nie można wobec tego przejść obojętnie i bezrefleksyjnie. Stracenie w meczu sześciu goli to jest porażka całego zespołu. Trzeba to spokojnie przeanalizować, bo błędy były kuriozalne. Nikt się tego nie spodziewał, ale ja uważam, że to może zaowocować na plus w przyszłości. Zawodnicy podeszli za lekko do tematu i będą mieć nauczkę na przyszłość. W każdym meczu trzeba być skoncentrowanym i realizować taktykę. Gra obronna bezwzględnie jest do poprawy. Najgłupsze byłoby, gdyby teraz ktoś chciał przekreślić wszystko, co trener dotychczas z zespołem osiągnął. Najważniejsze to wyciągnąć dobre wnioski – ci zawodnicy w moim odczuciu więcej takich błędów nie popełnią.

Wybiegając nieco w przyszłość, o co możemy powalczyć na EURO w Serbii i Albanii?

– Na takim turnieju zawsze się gra o najwyższą pulę. Trener nie może powiedzieć, że jedziemy tylko wyjść z grupy. Cele zawsze trzeba sobie stawiać bardzo wysokie, a później boisko będzie je weryfikować. Ci zawodnicy nie zapomnieli, jak się gra w piłkę; w pięknym stylu dotychczas wygrywali i to zasługa zarówno jakości zespołu, jak i trenerów. Mam nadzieję, że ta drużyna nadal będzie nam dostarczać bardzo wiele radości. Trzeba być optymistą, najważniejsze, że awansowaliśmy. Cieszmy się z tego, co jest, bo jest sukces, ale do chodzenia z głową w chmurach na pewno jeszcze daleka droga.

To mogą być bardzo mocne mistrzostwa, bo wszystkie największe potęgi z Europy się zakwalifikowały: Anglia, Hiszpania, Portugalia, Francja, Niemcy, Włochy czy Belgia.

– To będzie świetna konfrontacja dla naszych zawodników! Teraz najważniejsza jest kwestia dobrego doboru ludzi, którzy tam pojadą. Trenerzy muszą wybrać najlepszych i najbardziej się wyróżniających zawodników. Oni w niedalekiej perspektywie wejdą do pierwszej reprezentacji i trzeba w nich inwestować, bo innej alternatywy nie mamy.

Niektórzy się rozmarzyli, że pierwszy raz od ponad 30 lat awansujemy do igrzysk olimpijskich.

– Bo tak jak mówię – mierzyć trzeba wysoko. Jedziemy tam po maksimum, a co uda się ugrać, dopiero życie pokaże. Każdy trener jadąc na taki turniej stawia drużynie bardzo wysoki cel. Eliminacje są za nami, a teraz zaczyna się nowa historia. To są inteligentni chłopcy i wiedzą, o co grają.

Za to pierwsza reprezentacja nie dostarcza nam ostatnio prawie żadnych powodów do radości. Jan Urban powinien dalej prowadzić kadrę?

– Absolutnie uważam, że trenerowi i drużynie trzeba dać spokój. Mamy jakość, jaką mamy, i lepszej na razie nie znajdziemy. Nawet najlepszy trener świata będzie dysponował tym samym materiałem ludzkim. Trener Urban jest doświadczonym szkoleniowcem, a drużyna pokazuje, że jest za nim. Dajmy trenerowi spokojnie popracować rok, dwa i wtedy przyjdzie czas na rozliczenie.

Rozmawiał Mariusz Rajek

Sport 28ccbaf39c

Przydałoby się coś wygrać...

Reprezentacja Polski stoi przed poważnym ryzykiem zaliczenia najgorszego roku kalendarzowego od 30 lat!

ANALIZA

Dotąd Biało-czerwoni zagrali w tym roku 8 spotkań, ale tylko dwa z nich wygrali – półfinałowy baraż z Albanią 2:1 oraz niedawną miazgę Rumunii 6:0. Oprócz tego kadra zaliczyła dwa remisy (z Bośniakami 0:0 i Nigerią 2:2) oraz cztery porażki (Szwecja 2:3 i 1:3, Ukraina 0:2 i Bośnia i Hercegowina 0:1). W tym roku Polacy mają do rozegrania jeszcze dwa mecze: rewanże Ligi Narodów w Rumunii i u siebie ze Szwecją. Jeśli nie wygrają, zanotują najgorszy rok kalendarzowy od 1996 roku!



Fot. Paweł Andrachiewicz/Press Focus

Sebastian Szymański potrafi znaleźć się w dobrej sytuacji. Szkoda, że nie zawsze umie ją wykorzystać.

Mołdawia przy Bukowej

Zanim zaczniemy wertować statystyki, trzeba przypomnieć, że mówimy tylko o meczach uznawanych przez PZPN, bo bywały i takie, które z jakiegoś powodu przez federację za oficjalne uznawane nie były. W 1996 roku Polacy pokonali Zjednoczone Emiraty Arabskie, lecz związek wpisał ten mecz jako nieoficjalny, bo nie był zgłoszony do FIFA, a Biało-czerwoni zagrali w mocno eksperymentalnym zestawieniu.

Pomijając więc to spotkanie, 30 lat temu w ciągu roku kalendarzowego reprezentacja Polski zwyciężyła... tylko raz – z Mołdawią 2:1 przy Bukowej w Katowicach. Był to ostatni mecz 1996 roku, którym Orły uratowały chociaż honor po mocno nieudanym okresie. Potem przez długie lata Biało-czerwoni nie zbliżali się już do tak złego dorobku. Najgorzej wypadł rok 2018, w którym Adam Nawałka zabrał kadrę na jakże nieudany rosyjski mundial, a potem jego stanowisko przejął Jerzy Brzęczek.

Łącznie reprezentacja wygrała wtedy tylko 3 z 13 rozegranych spotkań. Wcześniej? W 2009 i 2010 roku zwyciężała po 4 razy – na 13 i potem na 14 meczów. Jeśli więc trener Jan Urban nie chce osiągnąć najgorszego wyniku od 30 lat, musi wygrać z Rumunią lub Szwecją (a najlepiej oba). Wtedy... będzie współnajgorszy tylko w XXI wieku. Ale za to razem z dzielącymi współodpowiedzialność Nawałką i Brzęczkiem! Choć oni mieli o trzy spotkania więcej, czyli więcej okazji do wygrywania...

Janas kozak

Rzecz jasna nigdy nie jest tak, że wszystko jest zero-jedynkowe, a wyroki można wydawać tylko po suchej statystyce. W końcu w zeszłym roku trener Urban wraz z krytykowanym powszechnie Michałem Probierzem wygrali aż 7 z 10 spotkań, poza tym dwukrotnie remisując z Holandią i przegrywając tylko i wyłącznie feralny mecz z Finlandią. 70 procent zwycięstw w roku kalendarzowym to wynik najlepszy od 2019 roku, kiedy pamiętne, kapitalne eliminacje do Euro wygrał Jerzy Brzęczek – osiągając 8 na 10 wygranych.

Kto w ostatnim 30-leciu był najlepszy? Paweł Janas! W 2005 roku wygrał aż 11 z 14 rozegranych spotkań, choć jakichś poważniejszych przeciwników nie miał, a gdy w październiku zagrał z Anglią – to przegrał. Trzeba jednak przypomnieć rozbicie Azerbejdżanu 8:0 i aż cztery wygrane stykowe, po 3:2. Poza tym pokonywane były wtedy m.in. słabsze niż dzisiaj zespoły Albanii, Islandii, Ekwadoru czy Walii. No ale zwycięstwo to zwycięstwo, tym bardziej że Janas w 2003 roku wygrał 10 z 15 spotkań. Towarzysko ograł nawet Włochy 3:1!

Litwo, ojczyzno moja

Urban ma ten – co by nie mówić – kłopot, że ze słabymi rywalami w tym roku nie grał. Nie było Malty czy Litwy, na których dało się poprawić humory, nawet jeśli występy nie zawsze napawały optymizmem. Owszem, nie grał też z gigantami, lecz pamiętać należy, że Polska znajduje się w trwającym od lat regresie, odbija jej się czkawka po wykruszaniu pokolenia z czasów Nawałki, no i ogólny poziom w Europie poszedł w górę, a stawka bardziej się wyrównała.

Pokonana mimo wszystko Albania czy przeklęta Bośnia i Hercegowina to nie są już takie ułomki, jak w przeszłości. No i pretensje można mieć też do samych piłkarzy, którzy „lubią" sobie czasem nie wykorzystać tzw. patelni (tak, do pana mówię, panie Szymański) albo pragną ciepła drugiego człowieka i przytulają go, mimo że nie wolno (pan się nie śmieje z Szymańskiego, panie Bednarek). Nie zmienia to rzecz jasna faktu, że tak czy siak wyniki powinny być chociaż trochę lepsze.

Tak krawiec kraje

– Nie jestem rozczarowany tymi rezultatami, bo widzę, że trener Urban próbuje coś zbudować i daje szanse licznym młodym zawodnikom – kolejny ekspiłkarz, tym razem Jacek Grembocki, staje w obronie selekcjonera i z szerszej perspektywy patrzy na obecną sytuację.– A to musi odbyć się kosztem czegoś, czyli głównie wyniku. Zresztą ostatnie spotkanie z Bośnią zawalili doświadczeni gracze, a nie nowicjusze – podkreślił (a ja patrzę na panów Szymańskiego i Bednarka).

– Mamy wielkie aspiracje i często myślimy, że jesteśmy potęgą, natomiast potęgą na pewno nie jesteśmy. Dobitnie pokazał to mecz młodzieżówki, w którym uległiśmy Włochom nie po walce 1:2, tylko aż 2:6. Tak krawiec kraje, jak mu materii staje. To powiedzenie idealnie do nas pasuje. Obecnie nie mamy zespołu, bo dokonujemy przebudowy. Trener Urban szuka, sprawdza i daje szanse. Jesteśmy na etapie prób i błędów, dlatego potrzeba dużo pracy, cierpliwości oraz pokory – dodał Grembocki, po wypowiedzi którego pozostaje nam tylko jedno: postawienie kropki.

Piotr Tubacki

WYGRANE POLSKI W ROKU KALENDARZOWYM

Rok	Wygrane	Liczba meczów
1996	1	9
1997	6	14
1998	7	10
1999	5	13
2000	3	10
2001	5	11
2002	6	13
2003	10	15
2004	6	13
2005	11	14
2006	8	16
2007	7	14
2008	8	17
2009	4	13
2010	4	14
2011	7	14
2012	6	14
2013	5	13
2014	6	10
2015	5	9
2016	8*	14
2017	5	8
2018	3	13
2019	8	10
2020	4	8
2021	6	15
2022	5	13
2023	5	10
2024	5**	13
2025	7	10
2026	2	8/10

* wliczając pokonanie Szwajcarii w karnych na Euro 2016.
** wliczając pokonanie Walii w karnych w barażu o Euro 2024

ZNÓW OBSUWA

■ Reprezentacja Polski spadła o jedną lokatę i zajmuje 37. miejsce w rankingu Międzynarodowej Federacji Piłkarskiej. Biało-czerwonych wyprzedziła Szwecja. Liderem w zestawieniu FIFA pozostała Hiszpania, która w lipcu wywalczyła mistrzostwo świata. Najnowszy ranking został opublikowany dzień po zakończeniu tzw. okienka reprezentacyjnego. W przypadku drużyn z Europy była to rywalizacja w nowej edycji Ligi Narodów UEFA. Dwaj najmocniejsi grupowi rywale Polaków w tych rozgrywkach zanotowali awans w rankingu. Szwecja przesunęła się z 37. na 34. miejsce, wyprzedzając Rosję, Ukrainę oraz właśnie kadrę Jana Urbana. Natomiast Bośnia awansowała o cztery lokaty - na 57., mijając m.in. Rumunię. Reprezentacja zamykająca tabelę naszej grupy LN (z zerowym dorobkiem punktowym) spadła z 52. na 58. pozycję.

CZOŁÓWKA RANKINGU FIFA - 7 PAŹDZIERNIKA 2026

1.	(1) Hiszpania	2011,57
2.	(2) Argentyna	1972,80
3.	(3) Francja	1958,86
4.	(4) Anglia	1925,59
5.	(7) Portugalia	1807,69
6.	(5) Brazylia	1806,51
7.	(6) Maroko	1805,34
8.	(8) Belgia	1779,17
9.	(9) Holandia	1778,61
10.	(10) Meksyk	1738,48

* w nawiasach miejsce w poprzednim notowaniu

KOMENTARZ „SPORTU"



Paweł Czado

Lewy

Wydaje się, że to jeden z najbardziej kluczowych reprezentacyjnych problemów stojących przed Janem Urbanem: pozycja lewego obrońcy... W historii polskiej piłki było wielu wybitnych bramkarzy, wielu wybitnych stoperów, wielu wybitnych pomocników, wielu wybitnych napastników, ale co z... lewymi defensorami?

Prawda jest taka, że jeśli macie w rodzinie nastolatka, który uwielbia grać w piłkę, a przy okazji ma świetną lewą nogę, to warto namawiać go na grę na bocznej obronie, a nie w ataku. U nas „lewy obrońca" właściwie zawsze był towarem deficytowym. Na mistrzostwach świata, kiedy Polska zdobywała medale, za pierwszym razem na lewej flance grał nie ten, który powinien, bo ten, który powinien, złamał rok wcześniej kość śródstopia. Za drugim razem na lewej flance w najważniejszych meczach też nie grał ten, który powinien, bo ten, który powinien, odniósł kontuzję w trzecim meczu grupowym i do końca turnieju nie pojawił się już na boisku...

Owszem, zdarzali się już w polskiej reprezentacji na tej pozycji zawodnicy, którzy spod ogona sroce nie wypadli, którzy nie byli przypadkowi. Niektórzy zostawali nawet kapitanami... Antoni Barwiński, Jerzy Woźniak (na Górnym Śląsku kojarzony głównie dlatego, że strzelił pierwszego gola na Stadionie Śląskim – pamiątkowego pucharu jednak nie wziął, bo bramka była akurat samobójcza...), Adam Musiał, Wojciech Rudy, Dariusz Wdowczyk, Marek Ostrowski, Marek Koźmiński czy Michał Żewłakow... To wszystko byli świetni, bardzo dobrzy i dobrzy zawodnicy, żaden z nich nie był jednak nadzwyczajny.

To jednak nieważne – ważna jest teraźniejszość. A ta nie prezentuje się różowo. Ostatnio opcją numer jeden na lewej flance stał się Przemysław Frankowski. To świetny piłkarz, ale niektórzy wskazują, że ta pozycja jest dla niego nienaturalna. Wskazują na defensywne braki wynikające z faktu, że jest on naturalnie prawonożnym skrzydłowym – w efekcie ułatwia to rywalom pojedynki jeden na jeden. Z kolei Jakub Kiwior jest lewonożny, ale to urodzony stoper. Potwierdziło się, że zawodnik FC Porto nie ma predyspozycji do ciągłego biegania wzdłuż linii od jednego pola karnego do drugiego. Jan Urban otwarcie zdążył przyznać, że z tej alternatywy kadra nie powinna korzystać, a Kiwior ma grać wyłącznie jako stoper. Tymoteusz Puchacz uchodzi za kandydata o dużym potencjale ofensywnym, lecz z poważnymi brakami w defensywie. Zresztą selekcjoner otwarcie mu zakomunikował, że nie jest zadowolony z jego postawy obronnej i postrzega go bardziej w roli pomocnika. Nicola Zalewski jest fantastyczny w grze do przodu, ale gra blisko własnego pola karnego obnaża jego małe doświadczenie w grze obronnej...

Co więc dalej? W szerokim zapleczu przewijają się nazwiska młodszych lub... całkowicie innych zawodników (choćby Michał Gurgul, Michał Karbownik czy Bartłomiej Wdowik). Prawda jest jednak taka, że żaden z nich na ten moment nie zyskał akceptacji sztabu do gry w wyjściowej jedenastce. Czekają nas więc kolejne poszukiwania. Nie ma wyjścia... Konstatacja jest zasmucająca: lewa flanka defensywy pozostaje najłatwiejszym sposobem jej sforsowania dla rywali reprezentacji Polski. A jeśli w narodowym modelu gry będziemy mieć priorytet w postaci gry trzema obrońcami, to przyszłość rysuje się w barwach bardziej niż czarnych.

Sport 28ccbaf39c

W polskiej piłce im lepiej, tym gorzej



Fot. Paweł Andrachiewicz / PressFocus

Polscy piłkarze dziękują w Zrenicy za wsparcie polskim kibicom.

Rozmowa z Bośniakiem **Dżenanem Hosiciem**, byłym piłkarzem Szczakowianki i Zagłębia Sosnowiec, obecnie trenerem i właścicielem szkółki piłkarskiej w Sarajewie.

„Siódemka" okazała się dla Bośni szczęśliwa. W meczu numer 7 z Polską w końcu udało wam się odnieść zwycięstwo nad naszą reprezentacją. Jakie wrażenia po obejrzeniu tego meczu?

- Wygraliśmy, ale gdyby to Polska wywoziła komplet punktów z Zenicy, to nie powinniśmy mieć większych pretensji. Wasz zespół do przerwy powinien prowadzić. Miał kilka dobrych szans i tylko waszej słabej skuteczności Bośnia zawdzięczała fakt, że nie przegrywała. W drugiej połowie za bardzo się cofnęliście. Nasza reprezentacja nie rozgrywała wielkich zawodów, przecież – co warto przypomnieć – nie oddała, poza rzutem karnym, celnego strzału! Końcówka to już była gra trochę na wariata z naszej strony, na zasadzie: „może coś się uda"... No i się udało! Karny, gol i zwycięstwo, ale Polacy na przegraną nie zasłużyli. Piłkarsko wyglądali lepiej, przede wszystkim do przerwy. Bośnia znacznie lepiej zagrała w Warszawie czy nawet ze Szwecją. To nie był dobry mecz w naszym wykonaniu, ale tak już w piłce jest – liczy się to, co w bramce.

Trener Jan Urban długo nie mógł się pogodzić z decyzją o przyznaniu rzutu karnego. Jak pan ocenia tę sytuację?

- Byłem obrońcą i doskonale pamiętam, że walka i przepychanki to była normalka, także w polu karnym. Problem w tym, że teraz mamy VAR i takie rzeczy nie ujdą na sucho. Dziwię się, że tak doświadczony zawodnik jak Jan Bednarek popełnił taki faul. To wszystko za długo trwało. Nie można tak przytrzymywać rywala w polu karnym, a potem jeszcze go przewrócić. Tutaj sędzia miał rację, choć pewnie gdyby nie powtórki, gra toczyłaby się dalej. Niestety sędziowanie i interpretacja pewnych przepisów poszły w jakąś szaloną stronę. To zabija futbol. Choćby sytuacja, gdy Demirović strzelił nieuznaną bramkę głową – jeszcze kilka lat temu taki spalony nie zostałby odgwizdany.

Jan Urban po porażce z Bośnią zachował posadę, ale nie wiadomo, na jak długo. Śledzi pan to, co dzieje się w polskim futbolu na co dzień. Kolejna zmiana na stanowisku selekcjonera rozwiąże problem? Słaba postawa zespołu to tylko i wyłącznie wina sztabu szkoleniowego?

- Zawsze najłatwiej jest zwolnić trenera. Nieważne, czy w klubie, czy w reprezentacji. W ostatnich latach w Polsce trenera kadry zmienia się co chwilę, ale proszę zauważyć, że piłkarze wciąż są niemal ci sami. Tak więc odpowiedź sama ciśnie się na usta. Dlaczego są ci sami? Niestety lepszych nie ma, bo gdyby byli, to trener Urban na pewno by ich powołał. Oczywiście wchodzą do zespołu młodzi, jak Wiktor Nowak, ale nie da się na raz zabrać pięciu zawodników z kadry młodzieżowej i wstawić do seniorskiej. To tak nie działa. Trudniej znaleźć lepszych piłkarzy niż Zieliński czy Zalewski i nawet jeśli nie grają w klubie regularnie, są w kadrze nie do zastąpienia. Przynajmniej na razie. Gdyby do przerwy Polacy zdobyli dwa gole i wygrali mecz, to biorąc pod uwagę wcześniejsze 6:0 z Rumunią, wasza prasa pisałaby o tym, że zespół złapał odpowiedni rytm i trener dobrze to poukładał. Jest porażka, więc szuka się winnego. Pamiętajmy jedno: trener może ustawić zespół, dobrać zawodników i wszystko wygląda dobrze. Z gry się układa, ale bramki nie padają. Piłkarze oberwą, ale trener też, bo mógł wybrać lepiej. Kolejna zmiana w tak krótkim czasie moim zdaniem nic nie wniesie. Poza tym Liga Narodów to tak naprawdę nieco inny sposób na gry sparingowe. Najważniejsze są eliminacje do mistrzostw Europy i moim zdaniem trener Urban powinien zostać rozliczony po ich zakończeniu. Więcej cierpliwości! Ale wiem, że u was, zresztą podobnie jak u nas, jest o to trudno (śmiech). Jednak nasza piłka jest w innym punkcie.

W polskich klubach grają tabuny obcokrajowców. Stać was, to ich kupujecie. Polski piłkarz się nie buntuje, bo i tak zarobi swoje - ligę niżej. Ci najlepsi wyjadą zagranicę, ale będzie ich coraz mniej, bo z niższych lig trudno będzie się wyrwać. Z największym problemem zostanie więc trener kadry, bo skąd potem tych piłkarzy brać?



Fot. PAP/Leszek Szymański

Kacper Urbański próbuje powstrzymać Benjamina Tahirovicia w meczu Polski z Bośnią i Hercegowiną.

Co Pan ma na myśli?

- W Polsce przyszły takie czasy, że nie musisz być najlepszym, żeby dobrze żyć z piłki nożnej. Mam sporo znajomych Polaków i wiem, ile zarabia się w waszym kraju. I nie mówię tutaj o ekstraklasie. Dziś na dobrym poziomie można żyć i zarabiać w II czy w III lidze. W Bośni tak nie ma. Bośniacka piłka jest w miejscu waszej z lat 90. Żeby zarobić, musisz wyjechać. Żeby wyjechać, musisz być dobry. W kontekście kadry narodowej to dla was nie jest dobra sytuacja. W polskich klubach grają tabuny obcokrajowców. Stać was, to ich kupujecie. Polski piłkarz się nie buntuje, bo i tak zarobi swoje - ligę niżej. Ci najlepsi wyjadą za granicę, ale będzie ich coraz mniej, bo z niższych lig trudno będzie się wyrwać. Z największym problemem zostanie więc trener kadry, bo skąd potem ma brać piłkarzy ? Już macie przykład z napastnikami. Zaraz skończy karierę Robert Lewandowski. Kto go zastąpi? Jeśli ratunkiem ma być taki piłkarz jak napastnik z ostatniego meczu, który do niedawna był obrońcą, a teraz gra w 2. Bundeslidze, to coś jest nie tak... Za to powinny wziąć się władze waszej piłki, a nie co chwilę zmieniać trenera kadry. Nie tędy droga.

Cenne te pańskie spostrzeżenia z daleka. U nas mało kto tak postrzega rzeczywistość.

- Myślę, że problemem polskiej piłki jest fakt, że waszym piłkarzom jest po prostu za dobrze. Nie muszą się za bardzo starać, walczyć. Jeszcze kilka lat temu wasza kadra miała więcej zaciętości, woli walki w sobie. Dziś tego nie widzę. Bośniacy do końca walczyli, szarpali, czasem grali brzydko, ale skutecznie w końcowym rozrachunku. W efekcie z Polską wygrali, a ze Szwecją zremisowali. Bo na kadrze musisz zasuwać, nawet jeśli ostatecznie przegrasz. Dlatego czasem im lepiej, tym gorzej. I nad tym powinni się pochylić odpowiedzialni w waszym kraju za piłkę nożną.

Rozmawiał
Krzysztof Polaczkiewicz

DZENAN HOSIĆ

ur. 12 marca 1976 w Sarajewie
Kluby: Famos Hrastnice Sarajewo, FK Sarajewo (1997-1999), Anży Machaczkała (2000-02), Szczakowianka Jaworzno (2002-04), Zagłębie Sosnowiec (2004-08, 2009-10), Veleż Mostar (2009). 1 mecz w reprezentacji Bośni i Hercegowiny (2001)

Zawsze najłatwiej jest zwolnić trenera. Nieważne czy w klubie, czy w reprezentacji. W ostatnich latach w Polsce trenera kadry zmienia się co chwilę, ale proszę zauważyć, że piłkarze wciąż niemal ci sami. Tak więc odpowiedź sama ciśnie się na usta. Dlaczego są ci sami? Niestety lepszych nie ma, bo gdyby byli, to trener Urban na pewno by ich powołał.

Sport 28ccbaf39c

Ciśnienie przed GieKSą

Piątkowy mecz przy Limanowskiego (godz. 20.30) ma dla gospodarzy wielki ciężar gatunkowy. Nie tylko liczą na nowe otwarcie po długiej reprezentacyjnej przerwie.

RAKÓW CZĘSTOCHOWA

Przy Limanowskiego znają wagę zbliżających się meczów, ale patrzą na nie z optymizmem. Na czym go opierać w drużynie, która przegrała osiem z dziewięciu ligowych spotkań? Przede wszystkim nowy trener Tomasz Kaczmarek miał w stosunkowo krótkim czasie kupić drużynę, na plus oceniane są również pozostałe zmiany w sztabie. Kaczmarek jest dobrze odbierany zarówno w szatni, jak i w gabinetach, bije od niego energia, która daje podstawy do optymizmu, ale – co oczywiste – wszystko tak naprawdę zweryfikuje boisko, bo w Rakowie marginesu błędu nie ma już żadnego.

– Klucz to wygrać z GKS-em. Ta wiara, która jest w zespole, musi się przełożyć na wyniki. Liczymy, że pójdzie to w dobrą stronę. Nieprawdopodobnie ważny mecz, ciśnienie jest niemalże takie jak przed półfinałem Pucharu Polski z tym rywalem w poprzednim sezonie – mówi nam członek zarządu Rakowa, Rafał Niewmierzycki.



Fot. Grzegorz Misiak/PressFocus

Przerwa na kadrę pozwoliła spokojnie popracować trenerowi Tomaszowi Kaczmarkowi.

Wszyscy zdrowi

Aż sześciu zawodników Rakowa wystąpiło w ostatnich dniach w meczach swoich reprezentacji. Marko Perović pojawił się na boisku w 60. minucie starcia Czarnogóry z Łotwą (2:1). Bogdan Racovitan o występie na PGE Narodowym będzie chciał raczej jak najszybciej zapomnieć – pojawił się na placu gry w 67. minucie przegranego aż 0:6 meczu z Polską. Mahir Emreli zagrał cały mecz przeciwko Litwie (1:0). Dieudonne Gaucho Debohi zaliczył debiut w reprezentacji Ugandy w zremisowanym (1:1) spotkaniu towarzyskim z Demokratyczną Republiką Konga. Odnotować też trzeba grę do 56. minuty Tomasza Pieńki z Włochami (2:6) w ostatnim meczu eliminacji EURO U-21 czy występ Wiktora Żołneczki w przegranym 0:1 towarzyskim meczu kadry U-20 z Urugwajem.

W piątek nie będzie miało to jednak już większego znaczenia. Częstochowian czeka niezwykle trudne spotkanie, które otworzy 10. serię spotkań ekstraklasy. Raków nie może pozwolić sobie na kolejną stratę punktów. Cieszyć na pewno może to, że w czasie przerwy na kadrę żaden z zawodników nie doznał urazu, a ci, którzy potrzebowali czasu na podleczenie, są już do dyspozycji trenera. Obecnie w treningu indywidualnym znajduje się jedynie Erick Otieno.

Przebudowa sztabu

W przerwie na kadrę dokonano kilku zmian w sztabie, które były planowane i do przewidzenia, a dłuższa przerwa była do tego tak naprawdę najlepszym momentem. Konieczne było wymienienie kilku osób, jak choćby trenera przygotowania motorycznego, Pawła Drechslera. Umowa została rozwiązana za porozumieniem stron, a wczytując się w komentarze kibiców, można było odnieść wrażenie, że to on odpowiada za wyjątkowo kiepską dyspozycję drużyny w pierwszej części sezonu. Paradoksalnie najlepiej wyglądał bowiem Mahir Emreli, który dołączył do zespołu już po okresie przygotowawczym.

– Nie można mówić, że to był główny winowajca przygotowań przedsezonowych. Główny zarzut dotyczył wprowadzania zawodników do zespołu po urazach. Wracali, a za chwilę okazywało się, że nie są jeszcze gotowi do gry – słyszymy w klubie.

Na czym jeszcze w Częstochowie budują optymizm? Raków jest w tak złym położeniu po jednej czwartej sezonu, że... gorzej po prostu być już nie może. Tak przynajmniej uważają przy Limanowskiego. Czy faktycznie? Pierwsze odpowiedzi powinien dać już piątkowy mecz. Strata punktów z GKS-em może wprowadzić jeszcze większą nerwowość, a tego nikt nie chciałby przeżywać.

Mariusz Rajek

Mateusza nic nie rusza

Po trzech tygodniach rozbratu z ligowymi boiskami, drużynę Rafała Góraka czeka weekend intensywniejszy niż resztę stawki. W tym kontekście ważna jest ciut dłuższa ławka.

GKS KATOWICE

W odstępie trzech dni Katowiczanie dwukrotnie bowiem wybiegną na murawę. Już w piątkowy wieczór zagrają w Częstochowie z zamykającym stawkę Rakowem, w poniedziałek zaś u siebie odrobią zaległości z 3. kolejki, grając ze sklasyfikowaną (na razie) tylko oczko wyżej od „Medalików" ekipą Wieczystej. Gdyby oceniać przeciwników wyłącznie na podstawie zajmowanych lokat, faworyta nie byłoby trudno wskazać. Nasza liga jednak tak nie działa...

Dla Rafała Góraka i jego sztabu najważniejsze było to, że bez urazu wrócił ze zgrupowania młodzieżówki Mateusz Kowalczyk (i jeszcze Mateusz Kochalski, ale on akurat nie pojawił się na murawie w meczach eliminacji MME). „Kowal" przeżył w tym czasie istną huśtawkę nastrojów: od euforii po 3:0 ze Szwecją (zresztą na Arenie Katowice), przez frustrację po 2:6 w Pescarze z Włochami, aż po wtorkową radość, gdy okazało się, że Biało-czerwoni nie będą musieli grać baraży o udział w młodzieżowym EURO 2027. W poniedziałek więc kibice na Nowej Bukowej będą mieć okazję fetować ten fakt razem z nim.



Fot. Marcin Bulanda / Press Focus

Mimo maski na twarzy, Mateusz Kowalczyk w meczach młodzieżówki starć z rywalami nie unikał. Przyjamniej tych w parterze.

Kowalczyk najpewniej pojawi się w meczach z Rakowem i Wieczystą w tej samej masce, w której występował w grach eliminacyjnych. „Pamiątką" po starciu z Cracovią (i po uderzeniu łokciem w wykonaniu jednego z rywali) w dziewiątej kolejce jest bowiem pęknięta kość nosowa. – Na szczęście bez przemieszczenia – mówił w pierwszym dniu zgrupowania kadry Jerzego Brzęczka. Do wesela się zagoi – mawia stare porzekadło, ale na razie trzeba – po pierwsze – nos chronić, a po drugie – o ewentualne „wesele" postarać się w wymiarze sportowym, na boisku w Częstochowie, a potem w Katowicach.

Kowalczyk w ciągu przerwy reprezentacyjnej grał w kadrze, kilku innych członków ekstraklasowej kadry – w IV-ligowych rezerwach. Najwięcej ciekawości wzbudzały występy Damiana Rasaka, który w końcówce czerwca przechodził artroskopię kolana. Wyszło chyba nie najgorzej: był gol (z rezerwami Piasta Gliwice), była asysta, a w minioną sobotę – także występ przeciwko Banikowi Ostrawa na jubileusz kibicowskiej sztamy. A jeśli przypomnimy, że na bramkę w ekstraklasie czeka już niemal dwa lata (od 27 października 2024 roku), to już chyba najwyższa pora, by w spektakularny sposób przypomniał się kibicom nie tylko GieKSy. **(DaL)**

Bramkowy powrót

Po prawie trzech tygodniach przerwy piłkarze lidera ekstraklasy w końcu mają w czwartek trenować w komplecie.

GÓRNIK ZABRZE

Zawodnicy, którzy przez długi czas byli na zgrupowaniach swoich reprezentacji, zjeżdżają z najdalszych zakątków świata. Było ich w sumie dziewięciu w aż ośmiu reprezentacjach na trzech kontynentach!

Najdalej mieli Peter Federico i Janis Antiste, którzy w kadrach - odpowiednio Dominikany i Martyniki - walczyli ze zmiennym szczęściem w Lidze Narodów CONCACAF. Peter, który w bieżących rozgrywkach jest najskuteczniejszym strzelcem lidera ekstraklasy, pomógł reprezentacyjnej drużynie w zajęciu trzeciego miejsca w grupie pierwszej Dywizji A. Lepszej różnicy bramek zabrakło, żeby awansować do ćwierćfinału.

Martynika Janisa Antiste zajęła w grupie drugiej Dywizji A przedostatnie, piąte miejsce i będzie grała o utrzymanie. Napastnik Górnika pokazał się jednak z dobrej strony, bo w czterech spotkaniach zdobył dwa gole: w przegranym 1:3 spotkaniu z Salwadorem, kiedy wykorzystał karnego, oraz w zremisowanym boju we wtorek z tym samym rywalem. 24-latek, mający w swoim CV nawet występy w młodzieżowej reprezentacji Francji (urodził się w Tuluzie). W sześciu spotkaniach w nowej reprezentacji ma trzy bramki, a więc bilans całkiem, całkiem...

W zabrzańskim klubie, gdzie do końca sezonu jest wypożyczony z włoskiego Sassuolo, w ośmiu meczach w lidze i w pucharach trafił jak dotąd dwa razy. Na jego strzeleckie umiejętności kibice Górnika i sztab trenerski liczą w ekstraklasie w kolejnych grach, których w kolejnej części rundy jesiennej nie będzie przecież brakowało. Przed Górnikiem w październiku cztery ligowe gry plus starcie z Piastem w Pucharze Polski. Będzie się można wykazać! **(zich)**

Sport 28ccbaf39c

Wspomnienie

KRÓTKA PIŁKA

LIGA NARODÓW

REFORMA PROPOLSKA

■ Piłkarska reprezentacja Polski, bez względu na miejsce w tabeli swojej grupy drugiej dywizji Ligi Narodów, na pewno nie spadnie bezpośrednio na trzeci poziom. To efekt nowego formatu, który zostanie wprowadzony w następnej edycji, ale ma już duży wpływ na obecną. Liga Narodów UEFA istnieje od niedawna, obecnie trwa piąta edycja, lecz niemal w każdej z nich obowiązują inne zasady. W sezonie 2028/29 będą tylko trzy dywizje, a nie cztery jak obecnie, a w każdej z nich znajdą się trzy grupy po sześć zespołów.To sprawia, że w bieżących rozgrywkach obowiązuje nowy system spadków. Zgodnie z reformą drużyny z trzecich lokat w czterech grupach drugiej dywizji LN nie spadną szczebel niżej. Po prostu zakończą zmagania w obecnej edycji po listopadowych spotkaniach. Natomiast drużyny z czwartych miejsc rozegrają w marcu baraże o utrzymanie z rywalami z drugich lokat w dywizji C.

HISZPANIA

ŻEGNAJ, PEDRO

■ Były czołowy piłkarz reprezentacji Hiszpanii Pedro Rodriguez, mistrz świata z 2010 i mistrz Europy z 2012 roku, poinformował o zakończeniu kariery. Wiele lat grał w Barcelonie, a jego ostatnim klubem było Lazio, z którego odszedł po zakończeniu ubiegłego sezonu. 39-letni Hiszpan, występujący jako skrzydłowy lub napastnik, w czasie swojej długiej kariery wywalczył łącznie 25 znaczących trofeów - z reprezentacją i klubami, z czego aż 20 z Barceloną. Był jednym z kluczowych zawodników kadry narodowej, która w 2010 roku zdobyła w RPA mistrzostwo świata. Pomógł również Hiszpanii w triumfie na Euro 2012 w Polsce i na Ukrainie.

ANGLIA

NOWY KONTRAKT MISTRZA

■ Trener Arsenalu, Mikel Arteta podpisał z nim nowy kontrakt do 2030 roku. Umowa przedłuży jego pobyt w klubie Premier League do ponad dekady. 44-letni hiszpański szkoleniowiec objął stanowisko w grudniu 2019 roku i jest obecnie trenerem z najdłuższym stażem w angielskiej ekstraklasie piłkarskiej. Wcześniej był również zawodnikiem Arsenalu; spędził tam ostatnie pięć lat swojej kariery piłkarskiej.
Arteta w sezonie 2025/26 poprowadził Arsenal do tytułu mistrzowskiego, kończąc tym samym 22-letnie oczekiwanie klubu na ponowne zdobycie mistrzostwa Anglii.

Subtelny, polski, nieskazitelny

Andrzej to był ktoś, kto na hasło „Piast” stawał na baczność – mówią o zmarłym kilka dni temu spikerze (bez wahania używamy słowa: legendarnym) gliwickiego klubu jego przyjaciele.

Piłkarze obu drużyn zajęli już swoje miejsca na boisku, sędzia z gwizdkiem w ustach za moment da sygnał do rozpoczęcia kolejnego ligowego meczu przy Okrzei. W takich chwilach prawdziwy kibic na trybunach zawsze czuje ciary: przed nim 90 minut emocji, wzruszeń, nerwów, a na koniec – euforii bądź frustracji. - A u nas te ciary były podwójne, albo i potrójne – uśmiecha się smutno Marcin Żemaitis.



Fot. Piast Gliwice

Jeszcze siedem - i wszystko jasne...

Od Messiego do Badiego

Smutno, bo lata i dekady znał Andrzeja Sługockiego; tego samego, który swą pracą w Gliwicach wyznaczył „wzorzec z Sevres” spikerskiej pracy na stadionie. Nieprzypadkowo sześciokrotnie zgarniał nagrodę Ekstraklasy SA dla najlepszego w tej branży w krajowej elicie. Tworzył widowisko, jego kreatywność w tym zakresie nie miała granic. Pewnie każdy zawodnik, który przewinął się przez szatnię Piasta, ma własne wspomnienie związane z Andrzejem Sługockim. Bo niemal każdy w którymś momencie doczekał się z jego strony dobrego słowa, wykrzyczanego przez mikrofon. „Barcelona ma Messiego, Piast Gliwice ma Badiego” - to chyba najsłynniejsza z jego „myśli nieuczesanych”, a jednocześnie – niezapomnianych.

Symbol wzięty z... pomyłki

Trybuny na piłkarskim obiekcie czasem okiełznać niełatwo. Sługocki wspomniane nagrody zbierał również za to, że nigdy nie przestawał próbować tego czynić. Powiada się, że to kobieta łagodzi obyczaje. Ale on też to potrafił. „Będę konsekwentnie apelować o powstrzymanie się od wulgaryzmów” - powtarzał wielokrotnie, gdy z jednej strony stadionu na drugą frunęły mięsiste „pozdrowienia” dla antagonistów. I wiecie co? To działało; częściej niż na innych stadionach. - Bo miał charyzmę – to po pierwsze. Po drugie - bo kibice zawsze potrafią rozpoznać tego, który klub ma tam, gdzie powinien mieć, czyli w sercu – uderza w liryczny ton Marcin Żemaitis.

Te apele były przykładem tego, że rzeczywiście potrafił się z trybunami – nawet tymi, które z zasady nie chodzą na żadne kompromisy – dogadać. Kiedy po zwyczajowej celebracji gola dla gospodarzy kończył fetowanie tradycyjnym „Jeszcze siedem”, nawet największe zakapiory po prostu szalały na jego punkcie! I pomyśleć że – jak utrzymywał – pierwszy tego typu okrzyk, wieeeele lat wstecz, był efektem przejęzyczenia. Miało być zwyczajne „Jeszcze jeden!”, a wyszedł ponadczasowy symbol klubowej radości.

Jeden szereg, wiele ról

- Pan doskonale wie, że Andrzej nie był tylko spikerem. On był człowiekiem Piasta! - podkreśla były sternik gliwickiego klubu. - Kiedy w drugiej połowie lat 90. podjęliśmy się próby wskrzeszenia seniorskiej piłki w klubie, po paru latach jej niebytu, on stanął z nami w jednym szeregu. I to w paru rolach: kibica, trenera grup młodzieżowych (jeszcze w poprzedniej dekadzie, czyli w latach 80.), ale też dziennikarza – przypomina Żemaitis. Pracował w „Nowinach Gliwickich”, więc miejsce na wieści z Okrzei musiało się zawsze znaleźć. Również na ogłoszenie tej treści: „Zarząd klubu (...) zamierza ponownie powołać do życia zespół piłkarski seniorów, który zacząłby grać w klasie B od nowego sezonu 1997/1998. (...) Regularne zajęcia treningowe przyszłego zespołu seniorów odbywać się będą w środy i piątki o godz. 18.00”. - Poszło za darmo – dodaje nasz rozmówca. Dziś pewnie by się już to nie udało....

Łyk piastowskiego powietrza

Piast dla Sługockiego rzeczywiście był treścią każdego dnia. - Żył Piastem. Przychodził do klubu nie tylko w dniu meczu, do pracy z mikrofonem, ale też na co dzień. By – jak mi mawiał – pooddychać piastowskim powietrzem. Ono go napędzało – Zdzisław Kręcina widział duży kawał piłkarskiego świata, ale nie kryje, że piastowski spiker był nawet na tym tle postacią wyjątkową. - Najbardziej lubił przesiadywać w kanciapie gospodarza stadionu. Wiadomo przecież, że to właśnie tam ostatecznie spływają wszystkie ważne klubowe informacje, bez których prawdziwy fan obejść się nie może.

Smarowanie (nart) i smakowanie (życia)

A on tym prawdziwym fanem był. - I na hasło „Piast” stawał na baczność! - dodaje były prezes (ale też długoletni piłkarz, o czym zapomnieć nie wolno). Dawał Piastowi wiele: wiedzę, zaangażowanie, no i ten głos... Ale i Piast też mu wiele dał; może nawet coś najcenniejszego. - Andrzej był też trenerem „Piastunek”, czyli drużyny kobiecej. I w ten sposób poznał swoją żonę Ewę – przypomina Marcin Żemaitis. Ich przyjaźń przetrwała wszystkie burze, jakich przy Okrzei nie brakowało. - Dobrze się rozumieliśmy, lubiliśmy wspólne, rodzinne, wyjazdy na narty. One miały bardzo określony rytuał. Ja szusowałem póki było jasno, zwykle od 8 do 16.. A Andrzej po dwóch, góra trzech godzinach schodził ze stoku i szedł – powiedziałbym... - smakować życie do jakiejś góralskiej karczmy – teraz nasz rozmówca, mimo smutku w oczach, śmieje się już w głos.

Wieczna kwatera po sąsiedzku

„Pytam tych wszystkich, w których żyłach płynie niebiesko-czerwona krew: kto dzisiaj wygra mecz!?” - gromki głos Andrzeja, bardzo charakterystyczny i łatwo rozpoznawalny (i jeszcze „subtelny, polski i nieskazitelny” - jakby Grzegorz Tomczak napisał tę frazę piosenki „Ja to mam szczęście” właśnie po usłyszeniu Gliwiczanina), frunął najpierw pod dach okalający stadionowe trybuny, a potem ulatywał w niebo, rozlewając się po okolicznych uliczkach, placach, placu przed kościołem Chrystusa Króla, a nade wszystko – frunąc nad Cmentarz Lipowy, sąsiadujący z Areną Gliwice. To właśnie tutaj, tak blisko jakże ważnego dlań miejsca, we wczesne czwartkowe popołudnie spocznie na dłużej. Na zawsze... I przy okazji każdego meczu, życzliwie spoglądając na kolejne pokolenia piłkarzy z Okrzei, będzie nasłuchiwał odpowiedzi kibiców na przywołane na wstępie tego akapitu pytanie. Odpowiedzi najprostszej i najbardziej oczywistej w tym miejscu: „Piast GKS!”. Pierwsza próba – już w najbliższą niedzielę...

Dariusz Leśnikowski

OSTATNIA DROGA

■ Pożegnanie Andrzeja Sługockiego nastąpi w czwartek, 8 października. Po mszy o godz. 11.00 w gliwickim kościele Chrystusa Króla, nastąpi odprowadzenie zmarłego na Cmentarz Lipowy.

Sport 28ccbaf39c

Trzeba zdrapać rdzę

Drużyna Grzegorza Szoki to ewenement, bo w trakcie jakże długiej przerwy na reprezentację... nie zagrała żadnego sparingu. Czy to przeszkodzi w przygotowaniach do hitu z Ruchem?

ŁKS ŁÓDŹ

Oczywiście to nie jest tak, że Łodzianie nie chcieli rozegrać gry kontrolnej. Chcieli, byli już nawet ustawieni z Radomiakiem , ale zespół z województwa mazowieckiego zatrudnił nowego trenera – Johna Carvera. Anglik z kolei stwierdził, że dwóch sparingów nie potrzebuje i że wystarczy mu tylko spotkanie z liderem 1. ligi, Pogonią Grodzisk Mazowiecki. Mecz z ŁKS-em Radomianie więc odwołali, tłumacząc się problemami kadrowymi: powołaniami do reprezentacji i kwestiami zdrowotnymi. A Grodziszczan rozbili 7:2, grając w formule 105 minut.



Fot. Dawid Figura/Press Focus

Rycerze Wiosny przegrali przed przerwą na kadrę z Pogonią Grodzisk Mazowiecki 0:2, choć Lenard Szczygieł (z lewej) ścigał piłkę co sił.

Rozleniwiony organizm

Łodzianie zostali więc na lodzie, bo nie zdążyli już załatwić żadnego innego sparingpartnera. Wszyscy mieli już swoje plany i nikomu nie pasowało, aby przyjechać do ŁKS-u. Pozornie to rzecz niespecjalnie ekscytująca, jednakże może to mieć większe znaczenie, niż się wydaje. W końcu niemal wszyscy ligowcy w różnych terminach, najczęściej tydzień przed własnym meczem o punkty, organizowali spotkania kontrolne. Zazwyczaj też występowali w najsilniejszych dostępnych składach, oczywiście dając większe czy mniejsze szanse zawodnikom z rezerw czy młodzieży. Miało to wszystko na celu wprowadzenie typowego mikrocyklu meczowego, w którym gra się mecz – mniej więcej – co tydzień. Chodziło o kontrolę obciążeń i dostosowanie „rozleniwionego” lekko organizmu do rytmu ligi. Z tego też względu stosowano mocne zestawienia, a nie jak w trakcie letnich czy zimowych okresów przygotowawczych, gdzie rotacje i personalia są bardzo różne, bo chodzi o zbudowanie fundamentu fizycznego na całą rundę, a nie na kolejne kilka dni.

Będzie hit!

ŁKS został tej możliwości pozbawiony i jedyne, co pozostało trenerowi Grzegorzowi Szoce i jego sztabowi, to zorganizowanie gierki wewnętrznej. Jednakże nie ma co się oszukiwać – takie gierki nie są pełnowartościowymi spotkaniami, a jedynie poszerzonymi formami zwykłego treningu. Łodzianie mogą być nieco bardziej „przyrdzewiali” od swoich przeciwników, którzy mecze kontrolne rozegrali. W najbliższą niedzielę Rycerze Wiosny podejmą Ruch Chorzów, który ma za sobą sparing – choć przegrany z Lechią Gdańsk 1:3.

To będzie hit kolejki, bo jak wiadomo – zmierzą się dwie duże firmy, których kibice dodatkowo bardzo się nie lubią. Łódzcy fani mocno „nakręcają się” na tę rywalizację, planują miejskie pochody itp. Należy spodziewać się też dobrej frekwencji, bo w dwóch poprzednich sezonach na zapleczu, gdy Ruch przyjeżdżał na aleję Unii Lubelskiej, na stadion przychodziło ponad 10 tysięcy kibiców. W tym przypadku taki wynik oznaczać będzie podwojenie średniej widowni ŁKS-u z tego sezonu (5723). W rozgrywkach 2025/2026, ale i 2024/2025 tylko na meczach z Niebieskimi „pękała” granica 10 tysięcy fanów.

Liczą na więcej

Co ciekawe, w trzech ostatnich spotkaniach u siebie ŁKS nie potrafił ograć Ruchu. Będzie to dla Niego istotne oczywiście dlatego, że wymienia się Go w ścisłym gronie faworytów do walki o bezpośredni awans do Ekstraklasy, a w ostatnim meczu przegrał ze wspomnianą Pogonią 0:2. Poprzedni sezon i piąte miejsce to nie był zły wynik, ale przy al. Unii liczą na zdecydowanie więcej. Tym bardziej że mają ku temu możliwości – tak finansowe, jak i kadrowe. W tym kontekście na papierze na pewno przewyższają Ruch.

Piotr Tubacki

CZY WIESZ, ŻE...

■ Pod koniec okienka transferowego do ŁKS-u został wypożyczony Szymon Karasiński z Zagłębia Lubin, który dwa poprzednie sezony spędził na wypożyczeniach w Ruchu, grając tam 55 spotkań. Chorzowianie tego lata także monitorowali sytuację „Karasia" na Dolnym Śląsku, ale jako że ściągnęli Abrahama del Morala, a potem Krystiana Wachowiaka, zrezygnowali z tego tematu.

Spotkanie z psychologiem

Pokonanie Górnika Zabrze traktowane jest przez Łukasza Tomczyka jako znak dobrej pracy.

ODRA OPOLE

Może nie wszyscy kibice Odry o osłabieniu rywali wiedzieli i w tej błogiej niewiedzy brali za dobrą monetę wygraną 2:0. Wszak Górnik to aktualny wicemistrz kraju, obecny lider ekstraklasy i jeszcze niedawno zespół grający w europejskich pucharach.

– Na pewno sparing na plus – ocenił Łukasz Tomczyk, trener Odry. – Mieliśmy dobrą energię i to swojego rodzaju podsumowanie pracy z ostatnich dni po powrocie do treningów. Oczywiście nie można dać się uśpić i wpadać w nie wiadomo jaki optymizm, ale ten mecz musi dodać nam radości i wiary w pracę, którą wykonujemy na co dzień. Trzeba utrzymać konsekwencję i to, co robiliśmy w tym mijającym tygodniu, przełożyć na mecz z Miedzią. Jestem bardzo zadowolony z tego, co zaprezentowaliśmy z Górnikiem, jednak musimy to przełożyć na ligowe warunki i wygrać najbliższe domowe spotkanie.

Nie to samo

A teraz fakty. W Górniku, który zagrał sparing z Odrą, brakowało jednak dziewięciu piłkarzy, którzy w przerwie na mecze reprezentacji wyjechali i występowali w swoich drużynach narodowych. Oczywiście do dyspozycji trenera Zabrzan byli zawodnicy stanowiący bezpośrednie zaplecze wyjściowej jedenastki, ale to jednak nie to samo. Warto więc o tym pamiętać, czytając kolejne słowa wypowiedzi szkoleniowca 14. zespołu w tabeli I ligi i drużyny, która w 9 kolejkach strzeliła najmniej goli na zapleczu ekstraklasy.

Z energią oraz świeżością

– Zespół wrócił po przerwie z energią oraz świeżością. Przepracowaliśmy kilka rzeczy, które mają nam pomóc w obronie i w fazach przejściowych. Efekty było już widać w tym sparingu, co bardzo cieszy. Mieliśmy ostatnio również spotkanie z psychologiem i wierzę, że da to pozytywny efekt. Wiadomo, że to wszystko jest proces i musi to działać cyklicznie. To też nie jest piekarnia, że coś jest gotowe na jutro, ale wierzę w to, że każdy taki dzień nas do czegoś przybliża. Oczywiście to jest piłka nożna, nie wygrasz wszystkich meczów i nie zawsze będzie tak, jak chcesz – stwierdził Łukasz Tomczyk.

Mało poważnie

Chyba przy tym wszystkim trener zapomniał, że Odra pod jego wodzą z 9 meczów ligowych wygrała tylko 2, a średnia punktów szkoleniowca Opolan wynosi równe 1. Dla porównania dodajmy tylko, że Janusz Niedźwiedź, były już szkoleniowiec Miedzi Legnica, z którą Odra zmierzy się w niedzielny wieczór, pożegnał się ze swoim stanowiskiem, mając średnią 1,56.

Dlatego na koniec jeszcze raz przytoczę słowa opiekuna niebiesko-czerwonych, który chyba niezbyt poważnie traktuje kibiców Odry, starając się im wmówić, że rezultat sparingu – z rywalem, którego skład już wcześniej dość dokładnie przeanalizowaliśmy – jest początkiem wielkiej drużyny w Opolu.

Zwycięstwo z takim przeciwnikiem

– To bardzo dobry impuls, który nam pomoże. Na pewno w momencie, w którym jesteśmy, potrzeba sygnałów pozytywnej energii, dających pewność w codziennej pracy. Ja cały czas wierzę w to, co i jak robimy, ale zawodnikom zawsze trzeba dać coś naturalnego, czyli zwycięstwo w meczu z takim przeciwnikiem. To daje dobre wejście w kolejne spotkanie. Można na tym bazować, pokazywać wideo z tego meczu i dowodzić, że to, nad czym pracowaliśmy, po prostu się sprawdza. Oczywiście trzeba być cały czas czujnym i ciężko pracować, ale wierzę, że to jest cegiełka, która spięła klamrą ten etap i daje zawodnikom coś wartościowego na przyszłość – zakończył swoje wywody Łukasz Tomczyk.

3 mecze, 1 punkt i 1 gol

Po pokonaniu Wisły Kraków w Pucharze Polski Opolanie – cytując trenera - też mieli bardzo dobry impuls, pewność w codziennej pracy, coś naturalnego, na czym można było bazować, pokazywać wideo. A jednak w trzech kolejnych meczach ligowych zdobyli tylko 1 punkt i strzelili 1 gola. I tak wygląda liczbowa weryfikacja półmetka rundy.

Jednak w piłce nożnej wszystko jest możliwe i może właśnie od meczu z Miedzią Odra popłynie wartkim nurtem... O tym marzą sympatycy Niebiesko-czerwonych, kupując bilety na starcie mające dla fanów wymiar „świętej wojny”.

Jerzy Dusik



Fot. Facebook Odry Opole.

Łukasz Tomczyk po sparingowym zwycięstwie z Górnikiem Zabrze czeka na dobre występy Opolan w meczach ligowych.

Sport 28ccbaf39c

Talent odpuszczony w Rzeszowie

Mogła być piękna kariera na polskich boiskach, powołanie do reprezentacji kraju z pierwszoligowego klubu, ale nic z tego nie wyszło. Stal wypięła się na piłkarzy z Zambii...

Ta historia zaczyna się w dalekiej Lusace, stolicy Zambii. To piłkarska nacja na południu Afryki. Starsi kibice pamiętają jeszcze nazwisko-legendę Czarnego Kontynentu, – Kalushę Bwalyę, który w meczu igrzysk olimpijskich w Seulu w 1988 roku zszokował piłkarski świat, strzelając w wygranym 4:0 meczu z Włochami aż trzy bramki. Potem była katastrofa lotnicza w kwietniu 1993 roku, w której zginęła prawie cała reprezentacja Zambii zmierzająca na mecz eliminacji MŚ z Senegalem, i wreszcie niespodziewane mistrzostwo Afryki zdobyte w 2012 roku w Libreville, niedaleko miejsca, gdzie lata wcześniej doszło do tragedii.

Polski trener w akcji

Teraz Zambijczycy biją się o awans na kolejny Puchar Narodów, który latem przyszłego roku odbędzie się w Kenii, Tanzanii i Ugandzie. Zaczęli dobrze, bo w grupie I zajmują na razie premiowane awansem drugie miejsce. 25 września przegrali na wyjeździe z silną Algierią 1:3, ale w poprzedni wtorek pokonali u siebie Togo 2:0. W listopadzie zagrają z najsłabszym w grupie Burundi. W obu wrześniowych spotkaniach wystąpił 21-letni Ricky Chanda. Portal Transfermarkt wycenia go ledwie na 75 tys. euro, ale wkrótce kwota ta poszybuje mocno do góry.



Fot. Facebook

Ricky Chanda nie znalazł uznania w Stali Rzeszów. Teraz zadebiutował w reprezentacji Zambii!

Zawodnik jako 18-latek przyjechał do Polski, a konkretnie do Stali Rzeszów, wraz ze swoim rodakiem Emmanuelem Muyangą. Chłopaków wypatrzył w Lusace polski trener Sławomir Cisakowski. 40-latek był już w wielu miejscach na świecie: i w Stanach Zjednoczonych, i w Boliwii. Odbywał staże w dużych klubach, takich jak Everton, a także pracował w Zambii. Ma licencję UEFA Pro i na koncie już pierwsze sukcesy – najpierw do litewskiej ekstraklasy wprowadził FK Riteriai, a potem do estońskiej elity - Nõmme United. Kiedy pracował w Stali Rzeszów jako asystent Marka Zuba, w klubie pojawili się też wspomniani zdolni Zambijczycy. Nie dano im jednak szansy w pierwszym zespole. Terminowali ledwie w rezerwach.

– A szkoda, bo mimo młodego wieku dobrze rokowali. Ricky już wtedy był materiałem na ligowego gracza. Technika, dynamika... Był najszybszy ze wszystkich na testach oraz najwyżej skakał z miejsca. Niestety, u nas utarło się, że środkowy obrońca musi mieć minimum 185 cm wzrostu, stąd nie dostał szansy w Betclic 1. Lidze – mówi katowicki menedżer świeżo upieczonego reprezentanta Zambii, Jacek Osadnik. To agent z licencją FIFA, który od 3 lat rozwija Jumbo Football Agency (notabene ma także pod opieką debiutanta kadry Polski U20 – Bartosza Martosza z Podbeskidzia). To właśnie jego trener Cisakowski poprosił o pomoc przy opiece nad graczami. Niestety, Muyanga w międzyczasie zerwał więzadło.

A Ricky Chanda? Powędrował za polskim trenerem najpierw do litewskiego klubu, a potem do Nõmme United. Zaliczył dwa awanse i zdobył sporo bramek, bo potrafi i bronić, i strzelać. W poprzednim sezonie w ligowych rozgrywkach w Estonii zdobył siedem goli, a w tym – już w Meistriliiga, czyli tamtejszej ekstraklasie – trzy.

Musiał zwrócić koszulkę

Dobra gra została zauważona w ojczyźnie. Chanda został powołany do reprezentacji Chipolopolo – Miedzianych Pocisków (tak brzmi przydomek tamtejszej kadry) – na oba wrześniowe mecze w eliminacjach Pucharu Narodów. Zarówno z Algierią, jak i z Togo zagrał w pełnym wymiarze czasu. Zebrał świetne recenzje, zresztą w parze ze swoim partnerem ze środka defensywy, Dominickiem Chandą. Gwiazdą reprezentacji Zambii jest obecnie Patson Daka, występujący na co dzień w Hamburger SV.

A Stal Rzeszów? No cóż, kiedy Ricky żegnał się z klubem, kazano mu zwrócić nawet klubową koszulkę. Dyrektor sportowy Stali, Jarosław Fojut – sam przed laty będący defensorem – nie poznał się na talencie chłopaka z Zambii. Szkoda, choć niewykluczone, że zawodnik wróci do Polski już zimą. Tym razem jednak prosto do ekstraklasy. Jak się dowiadujemy, pierwsze rozmowy są już w toku!

Michał Zichlarz

Niechciani w Polsce

Jeden zagrał na mistrzostwach świata, inni zdobywali mistrzostwo Afryki. Co ich łączy? W polskich klubach potraktowano ich odmownie, gdy starali się o angaż.

AFRYKA

Różne są piłkarskie koleje losu… Można to stwierdzić na przykładzie zawodników, którzy mogli zawojować ekstraklasę, a tego nie zrobili. Po czasie okazało się, że… na dobre im to wyszło.

Przykład numer 1

W 2001 roku w Górniku Zabrze występowała dwójka młodych zawodników z dalekiego Zimbabwe: obrońca Dickson Choto oraz napastnik Shingi Kaondera. Mówiło się, że pracujący w Harare, a związany z Zabrzem trener Wiesław Grabowski (zmarł pod koniec lipca tego roku) chce wysłać jeszcze jednego zawodnika. W śląskim klubie miano wtedy stwierdzić, że… trzeciego „górnika" już nie chcą. Tym trzecim graczem miał być nie kto inny, jak późniejszy napastnik klubów Premier League, Benjani Mwarumwari.

Rozmawiałem z nim w 2006 roku w Port Said podczas Coupe du Afrique. Grał wtedy w Portsmouth, żeby potem przenieść się do Manchesteru City, gdzie jego tygodniówka – 20 lat temu – wynosiła 50 tys. funtów. Tak mówił mi o niedoszłym transferze do Polski, do Górnika: – Faktycznie, Grabowski chciał mnie wytransferować do Europy. Wspominał o klubie z Polski, ale nic z tego nie wyszło. W końcu trafiłem najpierw do RPA, do klubu Jomo Cosmos, a stamtąd do Szwajcarii. Grabowski to dla nas ważna osoba. Potrafi pokierować karierą piłkarza.

Przykład numer 2

Z Johnem Paintsilem rozmawiałem też podczas Pucharu Narodów Afryki, ale w Ghanie w 2008 roku. Był już wtedy uznaną postacią Czarnych Gwiazd, które turniej u siebie skończyły na trzecim miejscu. Grał w West Ham United, gdzie trafił po udanych dla siebie i reprezentacji mistrzostwach świata 2006 na niemieckich boiskach. Latem 2008 roku za 6,3 mln funtów przeniósł się do Fulham, żeby potem występować jeszcze w Leicester. W reprezentacji swojego kraju zagrał aż 91 razy, z sukcesami na igrzyskach olimpijskich w Atenach, dwukrotnie na MŚ i na turniejach Pucharu Narodów Afryki.

Mało kto wie, że jako 20-letni chłopak zimą 2002 roku przyjechał na sprawdzian do Widzewa Łódź. O krótkiej polskiej przygodzie mówił bardzo oględnie. Nie chciał wchodzić w szczegóły. – Klub był profesjonalnie zorganizowany, ludzie wokół mnie też bardzo mili, ale spotkało mnie tam coś, o czym nie chcę mówić. O co chodziło? Jestem profesjonalnym zawodnikiem i nie będę ujawniał takich rzeczy. To moja sprawa – tłumaczył mi w hotelu w Akrze w lutego 2008 roku.

Przykład numer 3

W finale Pucharu Narodów Afryki 2017 na stadionie w Libreville w Gabonie, w meczu o tytuł Kamerun zmierzył się z Egiptem. W wyjściowym składzie Nieposkromionych Lwów prowadzonych przez belgijskiego szkoleniowca Hugo Broosa na boisko wybiegła dwójka zawodników, których znaliśmy z polskich boisk – tzn. znało i pamiętało niewielu.

Byli to: pomocnik Arnaud Djoum i napastnik Robert Ndip Tambe. Ten pierwszy podpisał kontrakt z Lechem na początku 2015 roku. Z jego transferem wiązano wielkie nadzieje. Piłkarz na swoim koncie miał blisko 120 meczów w holenderskiej Eredivisie, grał też w Turcji. Niestety, w klubie z Poznania nie poszło mu najlepiej. Wystąpił w ledwie 3 ligowych spotkaniach, a w meczu przeciwko Zawiszy zobaczył czerwoną kartkę. W efekcie po kilku miesiącach pobytu w Polsce rozstał się z Kolejorzem i trafił do szkockiego Heart of Midlothian, a stamtąd do silnej reprezentacji Kamerunu, z którą w lutym 2017 roku sięgnął po mistrzostwo Afryki!

Przykład numer 4

Przypadek Roberta Ndip Tambe był inny. Przywiózł go do Polski nigeryjski menedżer John Chibuzo Nwakpa. Przyjechał pod koniec 2014 roku. Miał trafić do Wisły Kraków, ale akurat pracę tam stracił Franciszek Smuda i z testów w krakowskim zespole nic nie wyszło. W tej sytuacji zakotwiczył w... czwartoligowym LZS Piotrówka, klubie z Opolskiego, który słynął z zatrudniania graczy z Afryki.

Wiosną 2015 roku strzelił 18 bramek w 13 spotkaniach, pomagając drużynie w wywalczeniu awansu do III ligi. Był potem sprawdzany przez Górnika Zabrze i Śląsk Wrocław, ale z przejścia do ekstraklasowych klubów nic nie wyszło. W Zabrzu ówczesny szkoleniowiec Leszek Ojrzyński wolał postawić na Macieja Korzyma niż na nieznanego Kameruńczyka. W tej sytuacji Ndip Tambe wylądował za południową granicą – w Spartaku Trnava, dla którego latem 2016 roku zdobył 4 gole w eliminacjach Ligi Europy. Zwrócił na niego uwagę belgijski selekcjoner Nieposkromionych Lwów, Hugo Broos, i dał mu szansę debiutu w reprezentacji.

Puchar Narodów Afryki zaczął na ławce, żeby w drugim meczu z Gwineą Bissau wyjść na boisko w drugiej połowie. Od kolejnego meczu z Gabonem grał już w wyjściowym składzie, będąc mocnym punktem zespołu, który okazał się rewelacją mistrzostw Czarnego Lądu, zdobywając mistrzostwo kontynentu.

– Dzwonią teraz do mnie przedstawiciele takich klubów jak Spartak Moskwa, Dynamo Moskwa, Dynamo Kijów i pytają o Roberta. Niewykluczone, że jeszcze teraz podpisze kontrakt z nowym klubem, do którego przejdzie już latem. Jest wiele zapytań – tłumaczył wtedy John Chibuzo Nwakpa.

– Niepowodzenie w Polsce tylko mnie wzmocniło – mówił z kolei sam zawodnik. Ostatecznie wylądował w Adana Demirspor w Turcji. Grał też jeszcze potem w Rumunii i w Chinach.

Michał Zichlarz

Pożegnanie człowieka, który zmienił futbol

To naprawdę się stało: Leo Messi już niczego więcej nie dokona z reprezentacją Argentyny.

Trudno uwierzyć; już nic nie będzie takie samo. Lionel Andres Messi po raz ostatni zagrał w pasiastej koszulce! Nie było być może bardziej emocjonalnego pożegnania w całej historii futbolu. Już jadąc na Estadio Monumental, piłkarz płakał. Przed towarzyskim meczem z Beninem czekała na niego wielka, kilkudziesięciometrowa rozłożona na murawie reprezentacyjna koszulka z numerem 10 i hasłem „GRACIAS" zamiast nazwiska.

– Ta koszulka była moim marzeniem i dumą – mówił jeszcze przed spotkaniem Messi. Rozczulona publika na jego powitanie zaśpiewała słynną pieśń „Muchachos", więc znów oczy mu się zaszkliły... Hymn państwowy z kolei zaśpiewał piosenkarz Fabio Santana.

W podstawowym składzie wyszli w większości kumple z najlepszych czasów, kiedy wspólnie w 2022 roku zdobyli mistrzostwo świata. Argentyńczycy zagrali w nietypowych koszulkach – z jednym białym pasem na środku otoczonym przez błękit. W 10. minucie (najwłaściwszej, bo przecież w której innej) mecz został na chwilę przerwany. Piłkarza żegnał i fetował cały Estadio Monumental, a wśród publiczności byli trzej synowie – Thiago, Mateo i Ciro, którzy wyszli z ojcem wcześniej na murawę na odegranie hymnów, oraz ukochana żona – Antonela Roccuzzo Blanco.



Fot. PAP/EPA.

To nie był łatwy moment dla Leo Messiego: to już koniec.

Wbił ich w dumę

A przecież wszystko mogło potoczyć się inaczej... Pierwszy raz Messi żegnał się z reprezentacją już 10 lat temu, sfrustrowany i rozczarowany po przegranym finale Copa America Centenario z Chile. Przerwa trwała wtedy 6 tygodni, jednak nie wytrzymał. Wrócił! Na szczęście! Pod jego wodzą udało się wszystko odwrócić, bo wcześniej wszystko układało się drużynie narodowej raczej niepomyślnie: przestała zdobywać trofea. Także o tym Argentyńczycy pamiętają, bo Messi wbił ich w dumę.

Warto dodać słowo o człowieku, bez którego nie byłoby tego wszystkiego. Selekcjoner Lionel Scaloni, którego ogromną zasługą jest wypracowanie modelu współdziałania z Messim, był wyraźnie wzruszony, podobnie jak tysiące na Estadio Monumental i miliony na świecie.

Benińczycy, którzy pierwszy raz zagrali z rywalem z Ameryki Południowej, wcale nie chcieli być tłem, nie zamierzali kłaść się na murawie. Jako pierwsi stworzyli świetne okazje na zdobycie bramki. Messi miał szansę w 19. minucie – poszedł wślizgiem, ale piłka minęła słupek. W 32. minucie strzelał efektownie z woleja – znów obok. Z kolei jego strzał z wolnego bramkarz Marcel Dandjinou wybił w aut. Messi grał w swoim stylu, jeździł z piłką jak mały chłopiec na rowerku; gdyby nie wrzawa, z pewnością usłyszelibyśmy skrzypienie tego rowerka: ugć-ugć-ugć... Smuteczek! Już nigdy nie będę miał okazji sobie w ten sposób pożartować...

Długo w noc...

Druga połowa rozpoczęła się znakomicie. W 48 minucie efektownym strzałem popisał się również kończący karierę reprezentacyjną Nicolas Otamendi (140. występ). Z rogu dogrywał właśnie Messi, który od razu z uśmiechem pobiegł do kumpla z gratulacjami. Asystował też przy wspaniałym golu Nico Paza, napastnika Como, który jest przyszłością argentyńskiej piłki. Wreszcie spełnienie: efektowny gol z karnego po ewidentnym faulu i strzale w górny róg. Cała publika śpiewała. Ludzie nie mieli wątpliwości: Messi to G.O.A.T.! „Greatest Of All Time", największy w historii... Po meczu pożegnanie trwało jeszcze długo w noc – śpiewy, świetlna iluminacja, przemówienia... To już koniec.

Paweł Czado

■ **Argentyna - Benin 3:0 (0:0)**
1:0 - Otamendi, 48 min 2:0 - Paz 61 min, 3:0 - Messi, 70 min (karny)
ARGENTYNA: E. Martinez - Giay, Romero (80. Mastantuono), Otamendi (52. Lisandro Martinez) Taglialafico (52. Medina) - De Paul (59. Paz), Fernandez (79. Lo Celso), Mac Allister (90. Barco), Messi - Lautaro Martinez (79. Flores), Alvarez (59. Gonzalez)
BENIN: Dandjinou (76 Allagbe) - Omore, Roche (90.+1 Amadou), Tijani, T. Ourou (76. Azongnitode) - Aloko (90+1 Ngobi), Hassane (90.+1 Samadou), D'Almeida, Y. Ourou (64. Olugbade)- Olaitan (64. Ahlinyi), Tosin
Sędziował Fernando Vejar (Chile).
Widzów 85000. **Żółte kartki**: Otamendi - Tijani.

ZŁE MIŁEGO POCZĄTKI

■ Messi debiutował w reprezentacji 17 sierpnia 2005, kiedy selekcjonerem był Jose Maria Pekerman. Było to w Budapeszcie podczas meczu towarzyskiego z Węgrami. Wszedł za Lisandro Lopeza w 63 minucie i po... 45 sekundach dostał czerwoną kartkę od sędziego Markusa Merka. Powód? Uderzył wtedy łokciem ciągnącego go za koszulkę obrońcę Vilmosa Vanczaka. Ogółem dostał dwie czerwone kartki w reprezentacji (jeszcze w 2019 roku w meczu z Chile po starciu z Garym Medelem)

LICZBY MESSIEGO

7720 dni przeżył jako reprezentant Argentyny;

208 razy wystąpił w reprezentacji;

133 razy wyprowadził ją na murawę jako kapitan;

126 goli strzelił dla Albicelestes 46 rywalom, 26 z nich zdobył z rzutu karnego;

67 asyst zaliczył w narodowej drużynie;

16 goli najwięcej, wbił Boliwii;

11 hat tricków ustrzelił w barwach reprezentacji (dwa razy uczynił to w meczach z Boliwią).

Jego się nie oszukuje!

Czy to koniec Cristiano Ronaldo w reprezentacji Portugalii? Gwiazdor w oświadczeniu przedstawił swój punkt widzenia na ostatnią aferę i... raczej już nie lubi się z selekcjonerem.

PORTUGALIA

Gdy Lionel Messi kończył reprezentacyjną przygodę meczem z Beninem, Cristiano Ronaldo... chyba też kończył swoją przygodę z Portugalią. Przynajmniej na razie. Przypomnijmy, że CR7 opuścił zgrupowanie kadry po drugim meczu Ligi Narodów. Zagrał 67 minut z Walią, potem przesiedział całe spotkanie z Norwegią na ławce, co okazało się zarzewiem konfliktu.

Niby wszystko okej

Selekcjoner Jorge Jesus przyznał, że planował wpuszczenie Ronaldo na pół godziny, ale przebieg meczu zmusił go do podjęcia innych decyzji. Było o tym głośno, bo przez 23 lata reprezentacyjnej kariery CR 7 na palcach jednej ręki można zliczyć sytuacje, gdy piłkarz był w kadrze meczowej, ale nie zagrał. Niektórzy selekcjonerzy... mieli wręcz czuć naciski, że Cristiano ma grać.

Kiedy więc po starciu z Norwegią Ronaldo opuścił zgrupowanie, jasne stało się, że doszło do zgrzytu. Gwiazdor zdradził tylko, że jeszcze przyjdzie czas, aż wyjaśni całe zajście – no i wyjaśnił. Wydał obszerne oświadczenie, w którym zarzucił selekcjonerowi podwójne oszustwo!

Streszczając: CR7 przyznał, że po mundialu rozważał zakończenie kariery w kadrze. Władze federacji namówiły go jednak do pozostania, konsultując z nim także zatrudnienie Jorge Jesusa. Ronaldo poparł tę kandydaturę. Obaj znają się z Al-Nassr. 72-letni trener przedstawił gwieździe plan, że ten zagra w pierwszym i czwartym meczu Ligi Narodów, obu domowych. Cristiano to pasowało, ale – jako kapitan – nie chciał zgodzić się na pozostanie w Portugalii i czekanie na powrót zespołu z meczów nr 2 i 3.

„Zagrałem w pierwszym spotkaniu i choć zostałem zmieniony, nie miałem z tym problemu. Sam przekazałem opaskę Bruno Fernandesowi. Nie przypuszczałem wtedy, że mogą to być moje ostatnie kroki w reprezentacji" – napisał CR7.

Prawda na konferencji

W dniu meczu z Norwegią Ronaldo został poproszony o to, by jednak zagrać pół godziny. Był zdziwiony, bo jego plan był nastawiony na regenerację i grę w dwóch spotkaniach – ale zgodził się. Występu jednak nie było.

„Rozgrzewałem się od przerwy, oglądałem mijające minuty, lecz nigdy nie zostałem wezwany. Selekcjoner złamał dane słowo" – napisał rozżalony zawodnik. Dodał, że doszło do kolejnego spotkania z trenerem, gdzie ustalono, że Jesus na przedmeczowej konferencji z Danią wyjawi kulisy sytuacji i tego, co obiecał Ronaldo. „Miał powiedzieć, że nigdy nie prosiłem o minuty na boisku i że to on zaproponował mi konkretny plan na ten mecz, i że to był błąd, że wysłał mnie na rozgrzewkę, a potem mnie nie wpuścił. I że to nigdy więcej się nie powtórzy" – czytamy w oświadczeniu.

Jak Pele czy Maradona

Selekcjoner nie poruszył jednak tego tematu, co uraziło gwiazdora. Ronaldo zdradził, że razem z trenerem i kilkoma osobami funkcyjnymi ułożyli krótkie oświadczenie, od którego Jesus miał zacząć konferencję. Zawierało to wszystko, o czym już wspomnieliśmy, natomiast warto zacytować jeden punkt, jaki miał wypowiedzieć szkoleniowiec: „Popełniłem błąd, kierując na rozgrzewkę postać o randze Pelego czy Maradony, a następnie nie wpuszczając jej do gry. To się więcej nie powtórzy". Serio, takich słów Ronaldo wymagał od 72-letniego Jesusa, ale oczywiście nie padły. Piłkarz ma pretensje, że trener go nie przeprosił i że było to drugie złamanie słowa.

„Dlatego postanowiłem opuścić zgrupowanie, nie czekając na kolejną złamaną obietnicę" – dodał CR7.

Zwolnią czy nie?

Jesus na razie nie chciał komentować tego oświadczenia, lecz podobno nie zamyka Cristiano furtki powrotnej do kadry. A co na to sam gwiazdor? Portugalskie media spekulują, że wróci, jeśli... Jesus odejdzie. Ale federacja – po czterech zwycięstwach w dobrym stylu – raczej szkoleniowca nie zwolni. Czyżby to oznaczało koniec CR7 w kadrze?!

Piotr Tubacki

Sport 28ccbaf39c

Romka do kadry!

Będąca w wysokiej dyspozycji Romana Roszak poprowadziła Piotrcovię do zwycięstwa w Kobierzycach.

LOTTO SUPERLIGA KOBIET

Mecz Kobierek z Piotrcovią uchodził za hit 5. serii i trudno się temu dziwić. Spotkały się bowiem zespoły, które w tym sezonie jeszcze nie zaznały goryczy porażki, a miejscowe otwierały tabelę. Było więc jasne, że po tym spotkaniu ktoś będzie smutny. Trudno w to uwierzyć, ale obie drużyny - licząc wszystkie rozgrywki - stanęły przeciwko sobie już 40. raz. Chęć sięgnięcia po pełną pulę w obu obozach była olbrzymia. Lepiej usposobione były przyjezdne i tylko dobrej postawie Victorii Sałtaniuk gospodynie mogły zawdzięczać, że rywalki za bardzo nie odjechały. Po drugiej stronie dwoić i troić próbowała się Karolina Sarnecka, ale odbiła raptem jedną z dziesięciu piłek. Złapać karnego nie zdołała też Antonina Cieślak, więc na kolejną „siódemkę" weszła Patrycja Chojnacka. Obroniła rzut Anny Mączki i od 15 minuty praktycznie nie zeszła z posterunku. „Pati" zna każdy kąt kobierskiej hali i miała coś do udowodnienia. Broniła z wyczuciem, ale i ze sporym szczęściem, celebrując każdą z ośmiu interwencji (36%). Jej postawa została doceniona po końcowej syrenie przez Romanę Roszak. Liderka Piotrcovii rozpoczęła mecz w długim kucyku i do przerwy jej drużyna przegrywała. Po zmianie stron spięła włosy w dorodny kok, wręcz królując na parkiecie. Walczyła w obronie, rozdzielała piłkę w ataku, zdobywała bramki, nie myląc się z linii 7 metrów. Ktoś mógłby jej zarzucić niski (47%) poziom skuteczności rzutowej, ale wszyscy chcieliby taką postać w zespole. Nic dziwnego, że Romka została MVP tego emocjonującego starcia. Prowadzenie przechodziło w nim z rąk do rąk, ale jak w 38 minucie wyszły na nie Piotrkowianki, to tylko dwukrotnie pozwoliły Kobierkom wyrównać. Te mogły to uczynić po raz trzeci i doprowadzić do rzutów karnych, ale Chojnacka złapała piłkę po próbie Zuzanny Ważnej z rzutu wolnego! - To był bardzo trudny mecz, tym nasza radość jest większa. Nie mam pojęcia, ile rzutów obroniłam, ale to nie ma znaczenia. Liczy się to, że jesteśmy niepokonane - powiedziała Chojnacka, wypchnięta przez Roszak po odbiór nagrody dla najlepszej zawodniczki spotkania. Kosmetykami z pokaźnej torby podzieliła się z koleżankami, ale wcześniej potańczyła z nimi, ciesząc się z fotela lidera.

Brązowe medalistki zeszłego sezonu siedziały na nim zaledwie godzinę i 15 minut, bo MKS Lublin nie miał litości dla Sośnicy Gliwice i to jeden z faworytów na wszystkich spogląda z góry. Na uwagę zasłużył 4-bramkowy występ Maria Prieto. MVP poprzednich rozgrywek wróciła po kontuzji kolana.

KPR Gminy Kobierzyce - Krasoń MKS Piotrcovia 25:26 (15:13)
KOBIERZYCE: Sałtaniuk, Simić - Kozioł 2, Szukal 7/6, Drażyk 2, Ważna 1, Zimnicka 3, Wiertelak 2, Meleketcewa, Buklarewicz 1, Mączka 2/1, Kostuch, Ignjatović 2, Wiśniewska 1, Pilikauskaite 2. Kary: 4 min. Trener Herlander SILVA.
PIOTRCOVIA: Sarnecka, Cieślak, Chojnacka - Królikowska 2, Nosek 6, Roszak 7/4, Noga 3, Zimny 1, Gadzina, Polańska, Olek 2, Szczukocka 1, Machnio 1, Guguljanova. Kary: 12 min. Trener Horiatu PASCA.

PGE MKS El-Volt Lublin - SPR Sośnica Gliwice 38:26 (20:12)
LUBLIN: Martins, Smelcerz - Monkielewicz 1, Domagalska 4, Paulsen 3/2, Andruszak 3, Rosiak 1, Radosavljević 2, Lopes, Przywara 3, Nocuń 6, Lima 2, Pankowska, Prieto 4, Kowalik 7, Aleksandrowicz 2. Kary: 8 min. Trener Paweł TETELEWSKI.
SOŚNICA: Glosar, Osowska, Roj - Grobelna 3, Kozimur, Holińska 4, Gasević 1, Świerczek 3, Doktorczyk 5, Leśniak 4/2, Tukaj 3, Szczotka 3. Kary: 8 min. Trener Michał KUBISZTAL.

1. Lublin	4	12	140:93
2. Piotrcovia	4	12	115:91
3. Kobierzyce	4	9	124:89
4. Zagłębie	4	9	121:102
5. Gniezno	4	6	118:106
6. Start	4	6	107:127
7. Galiczanka	4	3	105:118
8. Kalisz	3	3	71:91
9. Radom	4	0	102:139
10. Sośnica	5	-6	119:166

Pozostałe mecze 5. serii : Gniezno - Galiczanka - czwartek 18.00, Kalisz - Start - sobota, 18.00, Radom - Zagłębie - niedziela, 15.00.

Marek Hajkowski



Fot. PAP/Maciej Kulczyński

Romana Roszak (z lewej) nic sobie nie robiła ze ścisłego krycia rywalek.

Zasępione Scyzoryki

Fantastyczni Gladiatorzy zasłużenie wywieźli z Kielc pełną pulę. To strata o tyle istotna, że do 2. rundy „zabiera się" punkty zdobyte przeciwko ekipie, która również uzyska promocję



Fot. PAP/Piotr Polak

Najlepszy i najskuteczniejszy zawodnik pozycji zdobywał bramki.

LIGA MISTRZÓW

Na takie mecze, jak środowe spotkanie mistrzów Polski z Magdeburczykami, a więc z zespołem z TOP 3 Starego Kontynentu czeka się z wypiekami na twarzy. Biorąc pod uwagę tylko rozgrywki europejskie, to aż trzykrotnie te potyczki wygrywali Niemcy. W tym najbardziej prestiżowe, bo w finale EHF Ligi Mistrzów w 2023 roku po dogrywce oraz rok później w drugim ćwierćfinale po konkursie rzutów karnych. Trener Bennet Wiegert zjechał do Hali Legionów z plejadą gwiazd światowego formatu, lecz miejscowi przekonywali, że Gladiatorzy w ich twierdzy nie są faworytami.

Nerwowy początek

Scyzoryki dobrze rozpoczęły spotkanie – bramki Aleksa Vlaha i Benoita Kounkouda, ale potem trzy trafienia z rzędu zdobyli goście i trzeba było odrabiać trzybramkową stratę. Przy pomocy Dejana Milosavljeva gospodarze przełamali niemoc i serię rywali, ale w Hali Legionów zrobiło się bardzo nerwowo. W użyciu był VAR, na ławkę kar odesłany został Vlah, za protesty upomniany został trener Wiegert, a Krzysztof Lijewski zobaczył żółtą kartkę. To wszystko działo się w ciągu 12 minut. W tym chaosie lepiej poczuli się goście z Saksonii-Anhalt, po raz wtóry odskakując na plus 3, a nawet plus 4. Pod koniec pierwszej połowy załamała się nieco gra w ataku gości, grający falami Kielczanie doprowadzili do remisu, ale na przerwę udawali się z minusowym kontem.

Jak na strzelnicy

Po zmianie stron szybko nadarzyły się okazje na doprowadzenie do remisu, lecz Dominik Kuzmanowić obronił trzy „setki" i kolejny raz trzeba było gonić wynik. Gladiatorzy jeszcze bardziej zacieśnili obronę, a w atak trafiali z każdej pozycji jak na strzelnicy i coraz bardziej uciekali coraz bezradnym

Zawładnąć piekłem

Zwycięzca meczu Vardar Skopje - Orlen Wisła Płock postawi spory krok w kierunku awansu do fazy zasadniczej.

LIGA MISTRZÓW

Spotkania z mistrzem Macedonii Północnej, zwłaszcza w Skopje, zawsze dostarczały wielu wrażeń. Żywiołowa publiczność w centrum sportowym „Jane Sandanski" potrafi rywalom zgotować piekło.

Z najlepszą obroną

Vardar wrócił po latach do europejskich rozgrywek pod kierunkiem doskonale znanego polskim kibicom Ivana Cupicia, który w CV ma bardzo udane sezony; m.in. cztery w drużynie z Kielc. - Wisła prezentuje obecnie najlepszą obronę w Lidze Mistrzów. Ma w składzie trzech specjalistów od tego elementu. Są bardzo mobilni i agresywni, a ich system obronny jest bardzo specyficzny. Nasz atak musi więc zaprezentować najwyższą formę w tym sezonie. Zapowiada się wybitnie twarda walka z obu stron. O sukcesie zadecydują postawy liderów, obrony bramkarzy oraz zachowanie chłodnej głowy w końcówce – przekonuje trener Cupić.

Zmotywowani do zwycięstwa

Nafciarze też mają utytułowanego trenera Xaviera Sabate i świetnych zawodników, którzy są gotowi do rywalizacji. Rozgrywający Melvyn Richardson, mający na koncie zwycięstwo w Lidze Mistrzów i MVP turnieju w 2024 roku, podobnie jak pozostali Wiślacy zdaje sobie sprawę, że czwartkowy mecz będzie bardzo trudny. - Wszyscy wiemy, jak ciężko jest tam wygrać, szczególnie przy tej niesamowitej atmosferze trybun. W ciągu ostatnich dwóch lat zawodnicy Vardaru zrobili ogromny postęp. To będzie ważne spotkanie, zarówno dla nich, jak i dla nas, jeśli chodzi o dalszą część tych rozgrywek. Jesteśmy bardzo zmotywowani, żeby zwyciężyć. Wszyscy są zdrowi i gotowi do gry, więc jestem pewien, że czeka nas naprawdę dobre spotkanie - zapowiada reprezentant Francji.

Rachunki do wyrównania

Z siódemką ze stolicy Macedonii Północnej Płoczczanie mają rachunki do wyrównania. Obie drużyny zmierzyły się sześć razy i bilans jest korzystny dla gospodarzy - wygrali trzy

Sport 28ccbaf39c



spotkania, Gisli Thorgeir Kristjansson, nawet z tak ekwilibrystycznych

mistrzom Polski. A gdy Kielczanie złapali dobrą serię, to natychmiast o czas poprosił niemiecki szkoleniowiec. Kilka taktycznych uwag dało zamierzony efekt, ponieważ jego zawodnicy już do mety posiadali inicjatywę, księgując w Hali Legionów jak najbardziej zasłużenie pełną zdobycz. - Przez swoje błędy nie mamy dobrego wyniku, ale z pracy, zwłaszcza w obronie, możemy być zadowoleni. Za tydzień w Magdeburgu będziemy mieli okazję do rewanżu - skomentował spotkanie Michał Olejniczak, wracający do formy reprezentacyjny rozgrywający Industrii.

Zbigniew Cieńciała

■ **Industria Kielce - SC Magdeburg 30:35 (17:19)**

INDUSTRIA: Milosavljev, Morawski – Yusuf 1, Jędraszczyk 2, Olejniczak 2, Kounkoud 4, Bos 6, Karalek 2, Rabczyński 1, Vlah 8, Monar 1, Jarosiewicz 2/1, Nahi 1. Kary: 6 min. Trener Krzysztof LIJEWSKI.

MAGDEBURG: Kuzmanović, Mandić – Musche, Claar 7, Thielicke, Rasmussen, Kristjansson 11, Pettersson 2, Magnusson 11/7, Serradilla, Weber, Lagergren, Mertens, Saugstrup 3, Bergendahl 1. Kary: 4 min. Trener Bennet WIGERT.

Sędziowali: Mads Hansen i Jesper Madsen (Dania). **Widzów** 4200.

Przebieg meczu: 1:0 (2), 1:1 (2), 2:1 (3), 2:5 (6), 6:6 (11), 6:9 (13), 8:12 (19), 15:16 (25), 17:17 (28), 17:19 (30), 18:19 (32), 20:23 (38), 22:26 (44), 23:28 (47), 27:29 (51), 29:33 (56), 30:35 (60).

CZY WIESZ, ŻE...

■ Orlen Wisła w XXI wieku regularnie startuje w europejskich pucharach. Vardar, po sukcesach w sezonach 2016/17 i 2018/19, kiedy to wygrał Ligę Mistrzów - w Final Four sezonu 2016/17 pokonał Barcelonę i PSG, a w 2018/19 Barcelonę i Veszprem - zniknął z mapy europejskich rozgrywek.

■ Startująca w LM już po raz piąty z rzędu Orlen Wisła ma zwycięstwo (25:24 z Melsungen) i porażkę (25:26 w Nantes) oraz tyle samo zdobytych i straconych goli (50:50). Z kolei Macedończycy przegrali w Melsungen (31:33) i z Nantes (32:33).

■ Mohab Abdelhak zdobył 14 bramek dla Vardaru, podczas gdy duński nabytek Frederik Bjerre jest najlepszym strzelcem ekipy z Płocka (9 goli), obok Sergeja Kosorotowa i Zorana Ilicia.

mecze, dwa zremisowali i tylko jeden, w 2015 roku, przegrali. Było to starcie w 1/8 finału Ligi Mistrzów. Pierwszy mecz Nafciarze wygrali 32:26, ale drugi - na wyjeździe - przegrali 20:31 i odpadli z rozgrywek. Rok później - również na tym samym etapie LM - po remisie 30:30 w Płocku w Skopje Orlen Wisła przegrała 24:25 i również dpadła. W kolejnym sezonie obie drużyny spotkały się w fazie grupowej. W Płocku padł wynik 22:26, a na wyjeździe 31:31. Kibice zapewne pamiętają te spotkania, ale sezon 2026/27 to zupełnie nowa historia. Vardar wrócił na europejskie salony, a Wisła musi zatrzeć wrażenie po kiepskiej końcówce poprzednich rozgrywek, kiedy kolejny raz odpadła w play offie.

Zbigniew Cieńciała

NIE PRZEGAP!

Vardar Skopje - Orlen Wisła Płock czwartek, 20.45, Polsat Sport 1

Zagłębie wyszarpało wygraną

Przełamanie Sosnowiczanek! Pierwsza wygrana w sezonie i koniec serii Ślęzy.

PGE BASKET LIGA KOBIET

Mecz w Sosnowcu był szalenie ważny dla koszykarek Zagłębia, które wcześniej przegrały dwa spotkania i w razie kolejnej porażki ich sytuacja w tabeli robiłaby się wyjątkowo nieciekawa. Rywalem była niepokonana Ślęza, która wcześniej w efektownym stylu demolowała kolejne rywalki. Wrocławianki w Sosnowcu też zaczęły od mocnego uderzenia, bo w połowie drugiej kwarty miały już 14 oczek przewagi (39:25). Zagłębie jednak nie zamierzało się poddawać, głównie za sprawą zadziornej Aleksandry Ziemborskiej (15 punktów do przerwy), zredukowało do przerwy straty do ledwie 6 punktów (37:43). Drugą połowę miejscowe zaczęły serią 8:0, wychodząc na prowadzenie! Mecz był już do końcabardzo zacięty, a dzięki znakomitemu finiszowi to Zagłębie mogło cieszyć się z pierwszej wygranej. Bohaterką ostatniej kwarty była młodziutka (18 lat) Nadia Kłobukowska, która trafiała za dwa i trzy punkty.

Ziemborska dla drużyny z Zagłębia rzuciła 21 punktów i miała 2 zbiórki. Drugą punktującą miejscowych była Jada Walker - 16 punktów. Blisko double-double w zespole z Wrocławia była Deyona Gaston (19 pkt i 9 zbiórek).

■ **MB Zagłębie Sosnowiec - 1KS Ślęza Wrocław 76:72 (16:21, 21:22, 18:14, 21:15)**

SOSNOWIEC: Ziemborska 21 (4x3), Meresz 14 (1x3), Walker 16, Rice 2, Kłobukowska 9 (2x3) – Morawiec 6, Vargas, Adamczuk 5, Wojtysiak, Micek 3. Trener Piotr GLINIAK.

WROCŁAW: Gaston 19, Gajda 4 (1x3), Alston 14 (2x3), Rutkowska 9, Mielnicka 14 – Puc, Kulińska 10, Strautmane 2, Jeziorna. Trener Arkadiusz RUSIN.

■ **PGE Wisła Kraków - KSSSE Enea AJP Gorzów Wlkp. 57:77 (12:11, 9:17, 20:25, 16:24)**

KRAKÓW: Horvat 9, Ziętara 3, Turner 9, Williams 14, Batura 3 (1x3) – Kuczyńska 4, Erikstrup 7 (1x3), Gilmajster 8 (2x3), Gbiorczyk. Trener Jordi ARAGONES.

GORZÓW WIELKOPOLSKI: Mair 11 (3x3), Ladine 12 (2x3), Telenga 10, Hurt 14, Stasiak 11 (2x3) – W. Kuczyńska, Szymkiewicz 7 (1x3), Gertchen 2, Jones 10, Kloska, Steblecka. Trener Dariusz MACIEJEWSKI.

■ **Contimax MOSIR Bochnia - Isands JTEC Wichoś Jelenia Góra 111:69 (29:21, 28:17, 23:14, 31:17)**

BOCHNIA: Peoples 17 (1x3), Stockton 12, Kosalewicz 13, Jones 16 (4x3), Dżochowska 19 (3x3) – Puter 9, Marcinkowska 20 (2x3), Litkowycz 2, Gołas, Winkel 3 (1x3), Zając. Trener Artur WŁODARCZYK.

JELENIA GÓRA: Tripković 11 (3x3), Prokop, Falkowska 10, Taylor 24 (1x3), Pilichowska 6 (1x3) – Pawlukiewicz, Domka 11 (2x3), Warsińska 7 (1x3), Stolarz, Kaławaj. Trener Rafał SROKA.

■ **Artego Bydgoszcz - Enea AZS Politechnika Poznań 37:67 (12:17, 8:14, 5:23, 12:13)**

BYDGOSZCZ: Ozola 6 (1x3), M. Moore 6 (1x3), K. Moore 3 (1x3), Michałek 3 (1x3), Marczyńska 2 – Sobiech 8 (2x3), Pawlikowska 2, Szymkiewicz, Witkowska 4, Zielińska-Obarek, Maławy 3 (1x3). Trener Krzysztof SZEWCZYK.

POZNAŃ: Fitzgerald 4, Davis 15, Pszczolarska 7 (1x3), Popović 3 (1x3), Haegenbarth 10 – Miškinien 10, Jakubiuk 4, Puzio 6 (1x3), Piasecka 5 (1x3), Woźna, Troszka, Główczak 3. Trener Wojciech SZAWARSKI.

■ **Lotto AZS UMCS Lublin - Energa Toruń 69:54 (18:20, 14:11, 25:12, 12:11)**

LUBLIN: Tadić 9 (1x3), Stępień 5 (1x3), Rembiszewska 14 (3x3), Reese 14, Ignerska 3 (1x3) – Sellers 6, Wojtala 2, Treffers 16, Weber, Pogorzelska, Hańczaruk, Marczak. Trener Marek LEBIEDZIŃSKI.

TORUŃ: Pinzan 10 (1x3), Animam 9, Jackowska 5 (1x3), Scott 14 (1x3), Grządziela 13 (3x3) – Śmiałek, Bykowska 3 (1x3), Konstanty, Makowska, Zakrzewska. Trener Elmedin OMANIĆ.

■ **Widzew Łódź - Lotto MKS Pruszków 99:63 (27:18, 25:24, 26:10, 21:11)**

ŁÓDŹ: Pawłowska 6, Svatonova 9 (1x3), Swartz 17 (2x3), Beh 16 (2x3), Chałupka 5 – Stawicka 2, Żytkowska 15 (3x3), Stefańczyk 11 (3x3), Zalewska 6, Wysocka 12. Trener Małgorzata MISIUK.

PRUSZKÓW: Bukraba 10, Wieczyńska 8, Zaborska 5, Krawiec 14, Furman 20 (3x3) – Kobza, Trzymkowska 2, Głąbikowska 4 (1x3), Kaczmarek. Trener Michał SPYCHAŁA.

1. Bochnia	3	6	280:220
2. Wrocław	3	5	241:159
3. Toruń	3	5	199:192
4. Lublin	3	5	276:214
5. Łódź	3	5	244:214
6. Warszawa	2	4	177:145
7. Poznań	2	4	138:106
8. Sosnowiec	3	4	195:217
9. Pruszków	3	4	225:268
10. Gorzów Wielkopolski	2	3	148:133
11. Jelenia Góra	3	3	201:311
12. Kraków	3	3	179:234
13. Bydgoszcz	3	3	129:219

Najbliższe mecze: Pruszków - Bochnia, Wrocław - Lublin, Toruń - Jelenia Góra, Poznań - Sosnowiec (wszystkie 10.10.), Kraków - Warszawa, Gorzów - Bydgoszcz (oba 11.10.).

(pp)



Fot. Facebook MB Zagłębie Sosnowiec

Koszykarki z Sosnowca wygrały pierwszy mecz w tym sezonie!

Przebudzenie po przerwie

Dzięki dobrej trzeciej kwarcie King Szczecin pokonał Nitrę i zaliczył pierwszą wygraną w Pucharze Europy.

FIBA EUROPE CUP

King był zdecydowanym faworytem środowego starcia. Słowacka Nitra teoretycznie uchodzi za outsidera grupy D. Dość niespodziewanie goście wygrali pierwszą kwartę 25:23, głownie za sprawą wybornej skuteczności w rzutach zza łuku (5/9 za trzy). Czas uciekał, a obraz gry nie zmieniał się ani na jotę. Nitra prowadziła do przerwy, utrzymywała też przewagę przez większość trzeciej kwarty. Dopiero na finiszu tej części miejscowi się przebudzili, zaliczyli serię 13:0 i objęli pewne prowadzenie. Rywale od tego momentu zupełnie się rozsypali i King mógł cieszyć się z premierowej wygranej w europejskich rozgrywkach. Najlepszymi zawodnikami Szczecinian byli Tomasz Gielo (11 punktów, 8 zbiórek) oraz Noah Reynolds (16 punktów, 5 asyst).

■ **King Szczecin - Nitra Blue Wings 88:81 (23:25, 18:18, 21:13, 26:25)**

SZCZECIN: Chassang 6, Gielo 11 (1x3), Sehnal 12 (2x3), Reynolds 16 (4x3), Żołnierewicz 10 – Porter 15 (2x3), Majcherek, Witliński 12, Kostrzewski 6. Trener Maciej MAJCHEREK.

(pp)

Sport 28ccbaf39c

WOKÓŁ SIATKI

PRZEZ SZCZYRK DO GRUZJI

■ Reprezentacja Polski siatkarek U-19 pod kierunkiem trenera Michała Dudka przygotowuje się na obiektach Ośrodka Przygotowań Olimpijskich COS w Szczyrku do mistrzostw Europy Wschodniej (EEVZA), które rozegrane zostaną w Rustawi (Gruzja) od 21 do 25 października.
Polski zagrają w fazie grupowej z Łotwą (22 października) i Azerbejdżanem (23 października). W drugiej grupie znalazły się zespoły Armenii, Estonii, Gruzji i Ukrainy. 24 października będzie dniem przerwy, a na 25 października zaplanowano mecze o miejsca, w których odbędą się mecze o konkretne lokaty. Faworytkami do triumfu są Polska i Ukraina. Najlepsza drużyna w Rustawi zakwalifikuje się do przyszłorocznych mistrzostw Europy.
Kadra Polski trenuje w Szczyrku od 1 października. Obecnie na zgrupowaniu jest szesnaście zawodniczek. Przyjmujące Daria Wieczorek (UNI Opole) i Liliana Wójcik (Chemik Police) dołączą do ekipy 18 października. Dwa dni później reprezentacja odleci do Gruzji.W trakcie zgrupowania zaplanowane zostały sparingi w zespołami Tauron 1. Ligi Kobiet – Beskid Media MKS Imielin oraz Credo Płomieniem Sosnowiec.

(mic)

Włoski dynamit

Juri Romano ma dać stolicy upragnione mistrzostwo Polski.

PGE PROJEKT WARSZAWA

Stołeczny klub od lat należy do krajowej czołówki. Był wicemistrzem, od trzech sezonów nie schodzi z krajowego podium (kończył je na trzeciej pozycji), wygrał też Puchar Challenge. W jego kolekcji brakuje jednak najważniejszego trofeum - złota mistrzostw Polski. I to mimo wielkich nazwisk w klubie; jego barwy reprezentowali lub wciąż reprezentują m.in. świetny serbski środkowy Srecko Lisinac oraz cała plejada aktualnych i byłych reprezentantów Polski: Artur Szalpuk, Bartłomiej Bołądź, Jan Firlej, Jakub Kochanowski, Damian Wojtaszek, Karol Kłos czy Bartosz Bednorz.

W nadchodzącym sezonie ma się to w końcu zmienić. Latem klub pozyskał bowiem Juriego Romano, włoskiego megagwiazdora. To jeden z najgłośniejszych transferów w historii naszej ekstraklasy. W Warszawie wiążą z Romano ogromne nadzieje. Wraz z Bednorzem, Firlejem oraz również sprowadzonymi latem Aleksandrem Śliwką i Bartłomiejem Lemańskim mają być nie do pobicia.

Czy jednak włoski atakujący ma papiery na to, by stać się absolutnym królem polskiej ekstraklasy? Patrząc na jego CV, nie powinno być wątpliwości. Dwukrotny mistrz świata (z 2022 i 2025 roku) oraz złoty medalista mistrzostw Europy to postać, która na międzynarodowych parkietach zdobyła i przeżyła już wszystko. Do tego dochodzą indywidualne nagrody, w tym tytuł najlepszego atakującego mistrzostw świata. Jego klasę potrafił docenić Bartosz Kurek. Gdy w finale mistrzostw świata w 2022 roku lider Biało-czerwonych otrzymał statuetkę dla najlepszego atakującego zawodów, wyciągnął dłoń w kierunku Włocha, dając do zrozumienia, że to on powinien zostać wyróżniony. - Chciałem go po prostu docenić. Myślę, że zagrał wyśmienite spotkanie i na pewno zasługiwał na nagrodę, zresztą jak cały włoski zespół. Chciałem żeby wiedział, że został zauważony przez przeciwników – tłumaczył wówczas Kurek.



Fot. Press Focus

Juri Romano rusza na podbój Tauron Ligi.

Przez lata włoski bombardier budował swoją pozycję w silnej lidze włoskiej, a miniony sezon spędził w barwach rosyjskiego Fakieła Nowy Urengoj. Teraz przyszedł czas na Polskę. Romano nie ukrywał ekscytacji występami w naszym kraju. - Trafiłem do bardzo mocnej ligi, a kibice w Polsce wręcz szaleją na punkcie siatkówki, co mnie bardzo cieszy. Gra w polskiej lidze była dla mnie swego rodzaju marzeniem ze względu właśnie na wspaniałych fanów i wszystkich świetnych siatkarzy, którzy tu grają, więc jestem bardzo szczęśliwy. Warszawa wydaje się naprawdę fajnym miastem. Miejsce, w którym mieszkamy z rodziną, też jest w porządku. Moja żona z córką są zadowolone, a to jest dla mnie najważniejsze – podkreślił siatkarz w rozmowie z przedstawicielami portalu Tauron Ligil

Przychodząc jako mistrz świata i jeden z najlepszych atakujących globu, Romano od pierwszej kolejki będzie musiał zmierzyć się z ogromną presją. W Warszawie jednak spotka trenera, którego doskonale zna – Roberto Piazzę. Obecność rodaka na ławce trenerskiej powinna mu znacznie ułatwić aklimatyzację. - To świetny trener. Wszyscy w drużynie są bardzo zadowoleni, że to właśnie on jest trenerem. Ja też, bo pracowałem z nim w przeszłości Mediolanie i było naprawdę super – ocenił Romano.

Włocha w Tauron Lidze czeka jednak piekielnie trudne zadanie. W innych zespołach świetnych atakujących też nie brakuje. Rodak Romano, Kamil Rychlicki, a także Kewin Sasak, Bartłomiej Bołądź, Karol Butryn, Łukasz Kaczmarek czy Brazylijczyk Alan Souza to światowa czołówka. Romano ma jednak sporo atutów. Jest zawodnikiem leworęcznym, bardzo wszechstronnym. Nie imponuje siłą, choć i tej mu nie brakuje, lecz bazuje na technice, szybkości, dynamice i sprycie.

Romano od kilku dni przebywa już w Warszawie. Odpoczął po nieudanych mistrzostwach Europy. Włosi byli współgospodarzem zawodów, mieli walczyć o złoto, a sensacyjnie odpadli już w ćwierćfinale po porażce z Finlandią. – To było wielkie rozczarowanie i dość trudne przeżycie, ale myślę, że nie analizowaliśmy zbytnio tego co się stało. Również dlatego, że sezon reprezentacyjny już się zakończył. Teraz chcemy skupić się na pracy w naszych klubach, a kiedy wrócimy do kadry latem przyszłego roku, postaramy się to wszystko zrozumieć i wyciągnąć z tego wnioski. Takie rzeczy zdarzają się w sporcie,musimy przez to wspólnie przejść – zapewnił.

(mic)

Nadzieja umarła przez ippon

DŻUDO

Gruzin Tato Grigalaszwili (kat. do 81 kg) oraz Japonka Haruka Kaju (do 63 kg) zdobyli w środę w Baku tytuły mistrzów świata w dżudo. Grigalaszwili wystąpił w finale tej imprezy po raz szósty z rzędu i wywalczył czwarty złoty medal. Z kolei Kaju obroniła tytuł z ubiegłego roku z Budapesztu. Japonka do 40 przedłużyła serię wygranych pojedynków!

W środę wystąpiły dwie Polki. Angelika Szymańska, wicemistrzyni świata sprzed dwóch lat i nasza największa nadzieja medalowa w tegorocznej imprezie, odpadła w drugiej rundzie, przegrywając pierwszą walkę w turnieju z Kerem Primo. Nasza reprezentantka w walce z nadzieję izraelskiego judo przeprowadziła akcje punktowane na yuko i waza-ari, ale przegrała przez ippon po niespełna trzech minutach walki. Izraelka później dotarła aż do finału, w którym uległa Kaju przez ippon.


Fot. PixsellUSPA USA/PressFocus

Agnieszka Szymańska (z lewej) w światowym czempionacie w Baku nie powtórzyła sukcesu sprzed dwóch lat.

Z kolei niżej notowana Kropska pokonała przez ippon dwie rywalki — Rahinę Modi Moumouni z Nigru i Amerykankę Karlee Carrouth, by w walce o awans do finału swojej „ćwiartki" przegrać w taki sam sposób z Joanne Van Lieshout z Holandii, która dwa lata temu stanęła na drodze do złota Szymańskiej.

W czwartek w kat. 70 kg powalczy Aleksandra Kowalewska, której przeciwniczką będzie Włoszka Irene Pedrotti.

Dominisia blisko podium

KOLARSTWO

Spośród 13 reprezentantek i reprezentantów Polski, którzy w środę wystartowali w kończących mistrzostwa Europy jazdach indywidualnych na czas, zdecydowanie najlepiej zaprezentowała się Dominika Włodarczyk. Mistrzyni naszego kraju w tej specjalności zajęła piąte miejsce.

Mistrzowskie imprezy najczęściej rozpoczynają się od „czasówek", do tego rywalizacja odbywa się na różnych dystansach (juniorki mają najmniej kilometrów do przejechania, elita mężczyzn – najwięcej) i trwa kilka dni. Teraz Słoweńcy ze wszystkim tym zerwali. Całość, czyli sześć wyścigów, przeprowadzono w środę, do tego na doskonale znanej z wcześniejszych dni 22-kilometrowej rundzie, którą wszyscy – bez względu na wiek i płeć – pokonywali raz.

Z Polaków najbliżej medalu była Włodarczyk. 25-latka z Okalewa koło Wielunia na pierwszym punkcie pomiaru, który umieszczono na końcu stromej wspinaczki, zajmowała czwarte miejsce ze stratą zaledwie siedmiu sekund do podium. Na kolejnym, po zjeździe, Włoszka Elisa Longo Borghini utrzymała taki dystans nad Polką, ale obie te zawodniczki wyprzedziła świetnie jadąca w drugiej części trasy Francuzka Juliette Berthet. Na mecie zwiększyły się tylko różnice – nasza reprezentantka do czwartej Włoszki straciła 14 sekund, a do trzeciej Francuzki – 21.

Poza zasięgiem tych trzech zawodniczek rozegrała się walka o zwycięstwo. Wygrała mistrzyni świata w tej konkurencji Marlen Reusser, która prowadziła od początku do końca. Szwajcarka pod górę była o 11 sekund lepsza od mistrzyni świata i Europy w wyścigu ze startu wspólnego Demi Vollering, a na reszcie dystansu dołożyła Holenderce kolejnych 12 sekund. Berthet straciła do zwyciężczyni ponad minutę.

W elicie mężczyzn kibiców gospodarzy ucieszył Primož Roglič. Doświadczony Słoweniec doskonale się wspinał w pierwszej części rundy. Co prawda pozostałe dwie trzecie trasy szybciej pokonał Francuz Bruno Armirail, ale do zwycięstwa zabrakło mu sześciu sekund. Brąz wywalczył jego mało znany rodak Maxime Decomble. Polacy znaleźli się w drugiej połowie stawki – Michał Kwiatkowski zajął 24. miejsce, Filip Maciejuk – 34.

W pozostałych wyścigach (juniorki i juniorzy, orliczki i orlicy) żadnej Polce i żadnemu Polakowi nie udało się znaleźć w pierwszej dziesiątce.

(gak)

Sport 28ccbaf39c

Najpiękniejsza reklama

W czasie, gdy na polskich torach zapadały kluczowe rozstrzygnięcia ligowe, Czesi mieli swój tradycyjny „Speedway Weekend", czyli cztery dni na czarnym torze.



Mariusz Rajek z Czech

Pierwsze trzy w Pardubicach (kolejno: finał mistrzostw Europy, Zlata Stuha, Zlata Prilba) i na deser Memoriał Luboša Tomíčka w Pradze. Na „dopchanie" w poniedziałek (5.10), ale jest to kwestia bardzo dobrze przemyślana – wracający do domu fani z Niemiec lubią zatrzymać się po drodze w czeskiej stolicy, wypić kilka piw więcej i zobaczyć jeszcze jedne zawody.

Janowski w piątek, Pawełczak w sobotę

Choć Polacy ściganie w Czechach przeważnie traktują z lekkim dystansem, to tym razem nasi zawodnicy odegrali tam czołowe role. W piątek Maciej Janowski wygrał ostatnią rundę SEC (do biegu dodatkowego o złoto zabrakło mu jednego punktu), a promotor cyklu Grand Prix postanowił docenić jego ambitną postawę, przyznając mu pierwszą ze stałych „dzikich kart" na sezon 2027. W sobotę Maksymilian Pawełczak okazał się najlepszy w juniorskim turnieju o Zlatą Stuhę (Złotą Wstęgę).

– Czy byłem faworytem? Aż tak bardzo bym nie wybiegał, stawka była mocna, fajnie, że udało się wygrać. Przed rokiem byłem drugi, więc jest jakiś postęp. Do Pardubic zawsze przyjeżdżam z uśmiechem, bardzo lubię ten tor, tu jest zawsze fajne ściganie, do tego w szóstkę, a to dodatkowo coś nowego. Patent jest taki, że trzeba wygrać start, czyli jak wszędzie, pod taśmą staje po prostu dwóch zawodników więcej. Na tak szerokim torze ściganie jest lepsze niż normalnie w czwórkę – mówił nam po sobotnich zawodach, dając nadzieję na niezły występ w niedzielnej Prilbie.

Tam Pawełczak bardzo dobrze zaczął, ale potem nie posłuchał ani swojego taty, ani mechaników, którzy sugerowali mu zejście niżej z przełożeniami, i skończył zmagania na półfinale, czyli poza najlepszą dwunastką.

„Sport" trudny do kupienia

Niedziela i poniedziałek były już wewnętrzną sprawą lokalnego matadora Janka Kvecha oraz Andrzeja Lebiediewa. W Zlatej Prilbie najlepszy okazał się mający za sobą bardzo udany sezon Czech. Choć żużel u naszych południowych sąsiadów nie jest sportem nawet średnio popularnym (najlepiej oddaje to brak jakiejkolwiek wzmianki o turnieju w sobotnim wydaniu czeskiego „Sportu", co można uznać wręcz za skandal!), to ekstaza radości kilkunastu tysięcy fanów po tym, jak na dystansie śmiałym atakiem po wewnętrznej Kvech wyprzedził prowadzącego Łotysza (mógł być wyjątkowo zdenerwowany, bo finał z powodu upadków na pierwszym łuku rozgrywano na trzy razy, a zawodnik Falubazu za każdym razem najlepiej wychodził spod taśmy!) robiła naprawdę niesamowite wrażenie.

W poniedziałek „Sport" pewnie ten triumf odnotował, ale nie mogliśmy sprawdzić tego empirycznie, bo zakup papierowych gazet w Pradze stanowi jeszcze większy problem niż w Polsce! Po odwiedzeniu siedmiu punktów autor tego tekstu się poddał.

Wracając do ścigania – Lebiediew zrewanżował się Kvechowi w poniedziałek w Pradze, ale jak powiedział nam po zejściu z podium, zdecydowanie wolałby odwrotną konfigurację: – Śmiało! Mogę Jankowi oddać to zwycięstwo, żeby miał hat-tricka (zawodnik ROW-u triumfował w sezonach 2024 oraz 2025 – dop. red.).

Memoriał Tomíčka na pewno takiego prestiżu jak Prilba nie ma, poza tym tutaj Łotysz już wygrywał, bo Francis Gusts był najlepszy w 2021 roku. Niemniej siedziało we mnie, że Honza dzień wcześniej strzelił mnie w tym finale po trasie. Dużo kombinowałem, żeby na jego torze w Pradze wziąć taki rewanż – mówił nam Lebiediew.

Prilba cenniejsza od... mistrzostwa świata?!

– Ktoś powie, że to jakiś tam kask, zwykły turniej, a ja tak nie uważam. To wyjątkowe trofeum i od dziecka chciałem je zdobyć. Chciałbym być pierwszym Łotyszem, który ubierze Prilbę na głowę i postawi ją w domu w swojej kolekcji – mówił nam żużlowiec, który w Ekstralidze reprezentuje Zielonogórzan, gdy zapytaliśmy go o znaczenie Prilby, i po chwili dodał: – Turniej niesamowity! To jest całe piękno żużla. Dwadzieścia tysięcy ludzi na trybunach, a pamiętajmy, że to bardzo duży stadion. Do tego ta piękna pogoda, to była najlepsza promocja żużla, jaką można sobie wyobrazić. Kto się wybrał w tym roku do Pardubic, to wsiąknął w to całkowicie.



Fot. Mariusz Rajek

Sześć imprez sportowych w cztery dni - w Czechach tradycyjnie nudy nie było.

Coś niesamowitego. Atmosfera tego turnieju jest taka, że to najcenniejszy wynik w mojej dotychczasowej karierze. Jak miałbym powiedzieć, ile to dla mnie znaczy, to stwierdzam, że to coś podobnego jak mistrzostwa świata – po Tomíčku wtórował Lebiediewowi Kvech, który zdradził nam, że wygrana dzień wcześniej odebrała mu ogrom sił i energii.

– Adrenalina i emocje były tak ogromne, że nawet nie mogłem nic zjeść – mówił zawodnik, który dostarczył organizatorom mistrzostw świata sporo argumentów za tym, aby otrzymać jedną z pozostałych trzech wolnych dzikich kart. – Nie zakwalifikowałem się w Challenge'u, więc nie mogę nic powiedzieć w tym temacie. Miałem dwie szanse, bo jeszcze startowałem w SEC. Jeśli nie dostanę dzikiej karty, to za rok znów spróbuję w eliminacjach. Oczywiście, jeśli ją dostanę, to będę się bardzo cieszył. Nie mam na to jednak wpływu. Skupiam się na tym, co mogę, będzie, co ma być.

Hokej musi być

Łotysz słynie z tego, że jest zagorzałym fanem również innych sportów, szczególnie tych, w których biorą udział jego rodacy. Kiedyś w jednej z rozmów w Częstochowie przyznał nam, że namówił Vladislavsa Gutkovskisa do pójścia na żużel, gdy ten był napastnikiem Rakowa. Od futbolu woli jednak hokej oraz koszykówkę, a tak się złożyło, że w niedzielę w Pardubicach po 78. edycji najstarszego turnieju żużlowego na świecie rozgrywany był hitowy mecz czeskiej ekstraklasy hokejowej pomiędzy Dynamem a Spartą Praga (6:4).

– Kurczę, przegapiłem to w terminarzu! Byłem bardzo skupiony na zawodach i mi to uciekło. Jakbym wiedział, może udałoby się podjechać na halę? – odparł nam wyraźnie rozemocjonowany. – Uwielbiam oglądać hokej. Teraz będzie czas wstawania w nocy, bo zaczął się nowy sezon NHL, z dużą liczbą Łotyszy, którym udało się przebić do najlepszej hokejowej ligi na świecie, więc będzie co robić – dodał, a gdy go zapytaliśmy, czy nie jest mu trochę przykro, że sezon żużlowy jest już na ostatniej prostej, w swoim stylu rzucił: – Słuchaj, bez żużla też jest co robić! (śmiech). Tak do stycznia nigdy za żużlem nie tęsknię. Potem kończą się różne święta i można czekać na nowy sezon. Jestem bardzo zajęty, bo przeważnie robię 60–70 imprez w sezonie, może nawet więcej. To są duże emocje, poświęcenie, także trzeba odpocząć, psychicznie również.

Czekając na Zmarzlika

Wracając jeszcze do Prilby – co ciekawe, organizatorzy do końca mieli nadzieję i trzymali miejsce na liście startowej dla Bartosza Zmarzlika. Ten dzień wcześniej ścigał się w meczu o brąz PGE Ekstraligi i Czesi liczyli, że na niedzielę zdecyduje się zawitać do nich i powalczyć o prestiżowe trofeum, którego w swojej kolekcji jeszcze nie ma. Korzyści odnieśliby wszyscy – Prilba jeszcze bardziej zyskałaby na prestiżu, 6-krotny mistrzostwa świata (lub: szesnastokrotny / w oryginale: 6-krotny mistrz świata) mógłby zabrać do domu trofeum (byłby bezapelacyjnym faworytem do wygranej), start w imprezie o tak unikatowej formule z pewnością byłby dla niego też wartościowym doświadczeniem, a kibice z Polski dostaliby dodatkowy magnes, aby pojawić się na trybunach.

Ostatecznie Zmarzlika zabrakło, a jego miejsce zajęła Hannah Grunwald. Czy warunki finansowe zaproponowane przez czeskich organizatorów okazały się zbyt słabe, czy Bartek chciał już odpocząć po intensywnej końcówce sezonu? Tego już się nie dowiemy, ale na pewno szkoda. Kolejna okazja dopiero za rok...

Złoty punkt Tyszan

Skazani na przegraną mistrzowie Polski walczyli jak lwy i mogą cieszyć się ze skromnej, ale jakże cennej nagrody.

LIGA MISTRZÓW

Kibicom zespołu z Mannheim wydawało się, że spotkanie z GKS-em Tychy będzie zwykłą formalnością, a tymczasem miejscowe Orły musiały się solidnie napracować, by zdobyć... dwa punkty. O wygranej gospodarzy zadecydowały rzuty karne, bo tyscy hokeiści walczyli do końca. Zostali nagrodzeni pierwszym punktem w tych prestiżowych rozgrywkach, a w przyszły wtorek zagrają ostatnie spotkanie, z Tapparą Tampere.

Leevi Viitala w niedzielę pojawił się w Tychach, w następnym dniu był na treningu, a we wtorek wraz całą ekipą przez wiele godzin oczekiwał na lotnisku na lot do Duesseldorfu, a potem podróż autokarem do Mannheim. 25-letni Fin pojawił się w czwartej formacji, gdzie zajął miejsce Jakuba Janika. Ten ostatni był w składzie jako 13. napastnik, ale na lód nie wyjechał.

Tyszanie doskonale zdawali sobie sprawę jakie ich czeka zadanie. - Musimy grać odpowiedzialnie, w skupieniu i wystrzegać się fauli, choć gdy przeciwnik gra szybko i pomysłowo, wówczas przewinień nie da się uniknąć - zapowiadali. Gospodarze osiągnęli przewagę i mocno oblegali tyską bramkę, ale w 5 min , gdy jeden z Tyszan znalazł się w boksie kar, mistrzowie Polski zostali po raz pierwszy skarceni. Brooks Macek, Kanadyjczyk z podwójnym paszportem, uderzył precyzyjnie, „guma" odbiła się od przeciwległego słupka i wpadła do bramki.

Gdy Tom Kuehnhackl po szybkiej i ładnej akcji podwyższył na 2:0, ogarnęły nas czarne myśli. Nie było jednak najgorzej, choć gorących momentów w naszej tercji nie brakowało. A jednak to my cieszyliśmy z trafienia Bartłomieja Jeziorskiego. Z własnej tercji dostał idealne podanie od Baltteriego Kakkonena i w sytuacji sam na sam posłał krążek pod poprzeczkę. A potem znów graliśmy dwa razy w osłabieniu; w tym pierwszym w 17 min Paś znalazł się w dobrej sytuacji, ale nie zdołał pokonać Maximiliana Franzreba. Tuz przed końcową syreną przed szansą stanął Henri Knuttinen, ale nie umieścił krążka w siatce.

Te sytuacje to był zwiastun tego, co oglądaliśmy w drugiej odsłonie. yszanie pozbyli się tremy i pojawili na tafli z mocnym postawieniem walki. Mateusz Gościński w 23 min odważnie lewą stroną wjechał do tercji i podał na prawe skrzydło do Viitali. Fin, debiutujący w GKS-ie, pewnie skierował krążek do siatki. W szeregach gospodarzy zapanowała konsternacja, bo nie spodziewali się takiego przebiegu meczu.



Fot. Lukasz Sobala/PressFocus

Kolejne dwa gole były efektem gry w liczebnej przewadze. Gdy na ławce kar przebywał Kakkonen, wicemistrzowie Niemiec wyszli na prowadzenie za sprawą Luke'a Esposito. Jednak goście potrafili się zrewanżować. Tym razem w boksie kar odpoczywał Tobais Fohrler, a Alan Łyszczarczyk z dalszej odległości popisał się niezwykle precyzyjnym uderzeniem. Potem Tyszanie przeprowadzili jeszcze kilka akcji i Szymon Kiełbicki oraz Jeziorski nękali bramkarza gospodarzy. To była niezwykle udana tercja w wykonaniu podpiecznych trenera Pekki Tirkkonena.

Goście grali niezwykle ambitnie i w kontrach szukali swojej szansy. Inicjatywa należała do gospodarzy, którzy z pasją atakowali, ale Fučik bronił z wyczuciem, mocno wspomagany przez kolegów. W końcu w 53 min Nicolas Mattinen zdecydował na uderzenie z wysokości lewego bulika i krążek wylądował w lewym górnym rogu naszej bramki. W odpowiedzi wszakże aktywny Jeziorski oddał krążek Mateuszowi Brykowi i ten spod niebieskiej zdobył wyrównującego gola. A potem trwała uporczywa walka GKS-u o utrzymanie korzystnego wyniku. Udało się: o wszystkim miała zadecydować dogrywka.

W niej wiele się działo, bo gospodarze atakowali z pasją, a na dodatek pod koniec 65. minuty na ławce kary usiadł Aleksi Ainali. Jednak Tyszanie obronili się i doprowadzili do karnych.W nich gospodarze - po uderzeniach Esposito i Mattinen - zdobyli dwa gole, Tyszanie zrewanżowali się jednie trafieniem Łyszczarczyka.

To był dobry występ w wykonaniu mistrzów Polski, którzy byli blisko sprawienia sensacji. Stanęło tylko na niespodziance...

Włodzimierz Sowiński

18 SEKUND gry w przewadze potrzebowali Tyszanie, by Łyszczarczyk doprowadził do remisu 3:3

36 SEKUND było do końca kary Pasia, gdy gospodarze zdobyli pierwszego gola

38 CELNYCH strzałów oddali gospodarze, zaś Tyszanie zrewanżowali się 27 uderzeniami

Bartłomiej Jeziorski, podobnie jak jego koledzy, rozegrał jeden z najlepszych meczów w karierze.

Adler Mannheim – GKS Tychy 5:4 (2:1, 1:2, 1:1, 0:0) po karnych 2-1
1:0 - Macek – Michaelis – Gawanke (6:00, w przewadze), 2:0 - Kuehnhackl - Nieleck – Renouf (7:30), 2:1 – Jeziorski – Kakkonen – Kaskinen (13:45), 2:2 – Viitala – Gościński (22:26), 3:2 – Esposito – Plachta – Gilmour (25:48, w przewadze), 3:3 – Łyszczarczyk – Kakkonen – Paś (28:59, w przewadze), 4:3 – Mattinen – Esposito – Plachta (52:32), 4:4 – Bryk – Jeziorski (54:58), 5:4 – Mattinen (karny).
Sędziowali: Marian Rohatsch i Alexander Kaptain – Kai Juergens i Patrick Łaguzow. Widzów 2000.
ADLER: Franzreb; Mattinen – Renouf, Gawanke – Kaeble, Gilmour – Poirier, Fohrler (2) - Shaw; Macek – Brown (2) – Michaelis, Solow – Esposito – Plachta, Greco – Reichel – Calce, Ehl – Nieleck – Kuehnhackl. Trener Dallas EAKINS.
GKS: Fučik; Pociecha – Kovarz, Kakkonen (4) – Kaskinen, Bryk – Sertti, Viinikainen; Knuttinen (2) – Paś (2) – Łyszczarczyk, Jaemsen – Kiełbicki – Kerkkaenen, Jeziorski – Ainali (2) – Viitanen, Viitala – Kucharski – Gościński Trener Pekka TIRKKONEN.
Kary: Adler – 4 min, GKS – 10 min.

IMPONUJĄCY START!

NHL

Hokeiści New York Rangers przez dwie kampanie z rzędu nie potrafili się przebić do play offu. W poprzednim sezonie przegrali siedem meczów z rzędu (!) w Madison Square Garden, a pierwsze zwycięstwo zanotowali dopiero w połowie listopada. Teraz zerwali z niechlubną tradycją i odnieśli czwartą kolejną wygraną, a trzecią na własnej tafli! Tym razem Strażnicy w derbach Nowego Jorku pokonali Islanders 5:2 (1:0, 2:2, 2:0), ale – wbrew pozorom – nie było łatwo. Dodajmy, że to najlepszy start u siebie od rozgrywek 2009/10

Derby miały szczególny wymiar dla bramkarza Wyspiarzy, Siemiona Warłamowa. Rosjanin przez wielu fachowców został już skreślony z listy NHL, a tymczasem po 676 dniach i częściowej wymianie stawów kolanowych powrócił do bramki Islanders. Obronił 19 strzałów, a kluczowego gola dla gospodarzy zdobył Olivier Bjorkstrand (38 min, w przewadze). Duńczyk również otworzył wynik tej potyczki (7) i to były jego pierwsze dwa trafienia dla Rangers po przenosinach z Columbus. Alexis Lafreniere, 25-letni napastnik, „ustrzelił" hat trick, ale tylko raz pokonał Warłamowa (21), a potem Kanadyjczyk w 59 min dwa razy w ciągu 32 sek. posyłał krążek do pustej bramki. Mika Zibanejad i Władysław Gawrikow, niezawodni asystenci, zaliczyli po dwa podania, zaś Igor Szestiorkin obronił 17 uderzeń. Pokonali go jedynie Bo Horvat (23) oraz Calum Ritchie (25), czym doprowadzili do remisu, jednak wspomniany Bjorkstrand, wykorzystał liczebną przewagę i rozwiał nadzieję gości na korzystny rezultat. Mike Sullivan, trener zwycięzców, chwalił swoich podopiecznych za odpowiedzialną grę w defensywie oraz w formacjach specjalnych przy pustej bramce rywali. W drużynie gospodarzy wystąpił 20-letni debiutant Cole Beaudoin, sprowadzony z Hartford (AHL) w miejsce kontuzjowanego Joego Veleno. Ponadto w Rangers i Islanders znaleźli się dwaj nastoletni obrońcy. Defensor Strażników, Alberts Smits (18 lat i 308 dni), jest teraz najmłodszy w NHL, a Matthew Schaefer (19 lat i 31 dni) – drugi w kolejności.

Niezwykle solidnie zapracowali na wyjazdową wygraną z Seattle Kraken 6:2 (2:0, 3:0, 1:2) hokeiści Vegas Golden Knights. Po dwa gole zdobyli Victor Olofsson (14 i 34) i Tomas Hertl (17 i 49, w przewadze) praz Mark Stone (22, w przewadze) i Jack Eichel (40). Dla Złotych rycerzy było to trzecie zwycięstwo w czwartej potyczce, ale zostało zmącone kontuzją Olofssona.

NY Rangers – NY Islanders 5:2, Seattle – Vegas 2:6, Montreal – Carolina 4:6, Los Angeles – Florida 1:2 Chicago – St. Louis 4:2, Toronto - Nashville 5:4 i Buffalo – Minnesota 3:2 oba po dogrywkach, New Jersey – Utah 3:5, Detroit – Ottawa 5:3

(ws)

POLECAMY IMPREZY SPORTOWE W TV

CZWARTEK 8 PAŹDZIERNIKA

TVP 1
20.10 Przegląd wydarzeń

TVP 3
16.25, 19.00, 21.50 Przegląd wydarzeń regionalnych

TVP SPORT
18.05 Futsal: elim. ME kobiet, studio i Polska - Norwegia (na żywo)

POLSAT SPORT 1
6.00 Tenis: ATP w Szanghaju, 20.35 Piłka ręczna: Liga Mistrzów, HC Vardar 1961 - Orlen Wisła Płock (na żywo)

POLSAT SPORT 2
20.20 Siatkówka: Tauron 1. liga mężczyzn, ICT Pierrot Czarni Radom - BKS Bydgoszcz (na żywo)

POLSAT SPORT 3
20.35 Piłka ręczna: Liga Mistrzów: MT Melsungen - HBC Nantes (na żywo)

POLSAT SPORT EXTRA 4
20.10 Koszykówka: Euroliga, Panathinaikos Aktor Ateny - Fenerbahce Tarfin Stambuł (na żywo)

POLSAT SPORT PREMIUM 1
6.00 Tenis: ATP w Szanghaju (na żywo)

POLSAT SPORT PREMIUM 2
6.00 Tenis: ATP w Szanghaju, 3.00 Motocyklowe MŚ: GP Indonezji (na żywo)

EUROSPORT 1
14.50 Kolarstwo: Gran Piemonte (na żywo)

EUROSPORT 2
5.00 Golf: Baycurrent Classic (na żywo)

CANAL+ SPORT 2
7.00, 13.00 Tenis: WTA w Pekinie (na żywo)

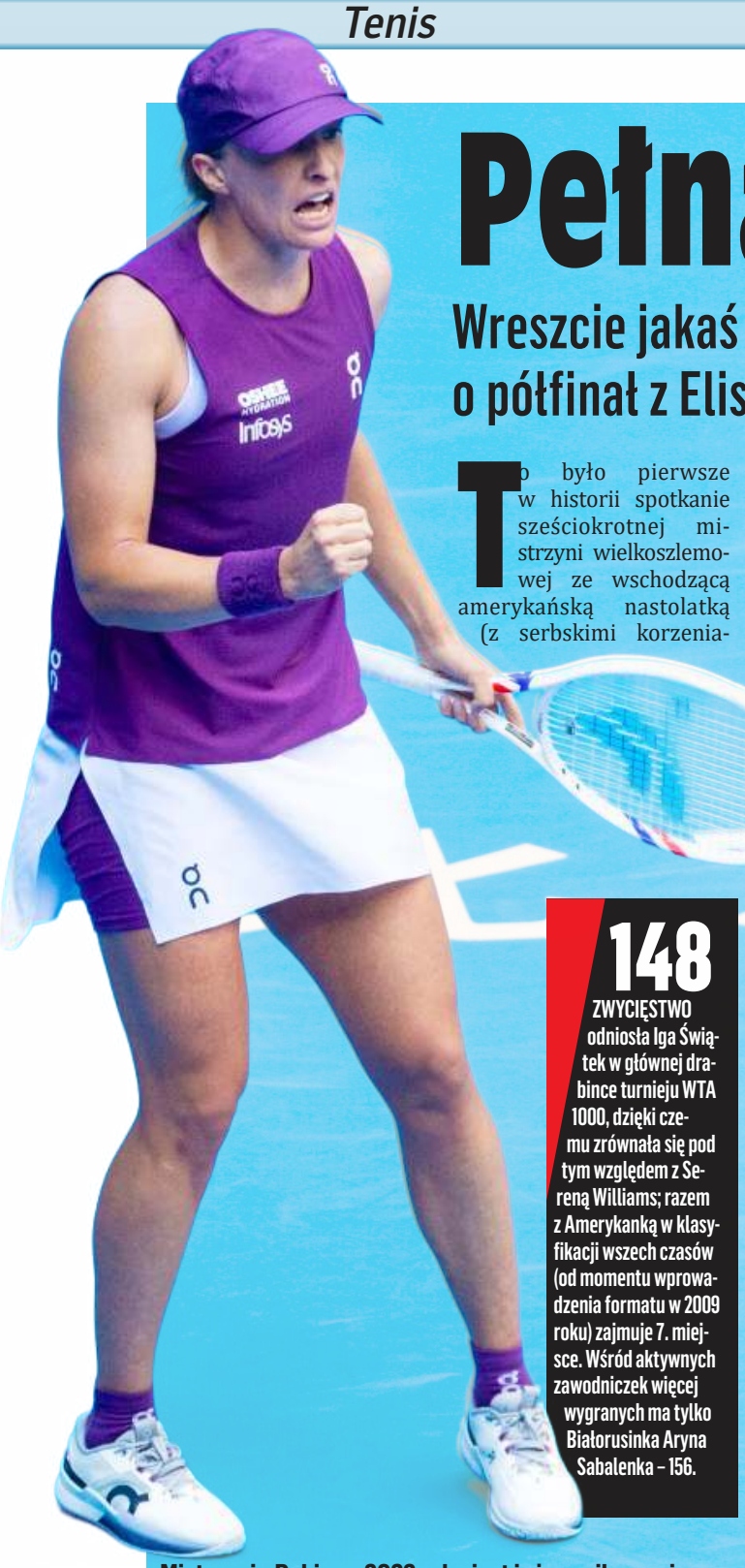
Wszystkie telewizje korzystają z prawa do zmiany w swoich programach. Powody zmian mogą być również niezależne.

Sport
Adres: 40-007 Katowice, ul. Uniwersytecka 13
Redaktor naczelny Tomasz MUCHA
Redaktor wydania Dariusz LEŚNIKOWSKI
e-mail: redakcja@dzienniksport.com.pl
Tel. 322587207
Wydawca
Edicom sp. z o.o.
ul. Hagera 41
41-800 Zabrze
Prezes Ryszard Halemba
Druk: Drukarnia Sosnowiec Polska Press Spółka z o.o., ul. Baczyńskiego 25a; 41-203 Sosnowiec

Sport 28ccbaf39c

Pełna domIGAcja

Wreszcie jakaś Polka lepsza od Ivy Jovic! Iga Świątek zagra w Pekinie o półfinał z Elise Mertens. Maja Chwalińska odebrała surową deblową lekcję.



Mistrzyni z Pekinu z 2023 roku jest już w najlepszej ósemce tegorocznej edycji, a polscy kibice liczą na jeszcze więcej!

Fot. PAP/EPA

148
ZWYCIĘSTWO odniosła Iga Świątek w głównej drabince turnieju WTA 1000, dzięki czemu zrównała się pod tym względem z Sereną Williams; razem z Amerykanką w klasyfikacji wszech czasów (od momentu wprowadzenia formatu w 2009 roku) zajmuje 7. miejsce. Wśród aktywnych zawodniczek więcej wygranych ma tylko Białorusinka Aryna Sabalenka – 156.

To było pierwsze w historii spotkanie sześciokrotnej mistrzyni wielkoszlemowej ze wschodzącą amerykańską nastolatką (z serbskimi korzeniami), Ivą Jovic. Choć niespełna 19-letnia tenisistka z Kalifornii już ośmiokrotnie (!) odprawiała z kwitkiem choćby Magdę Linette, Magdalenę Fręch czy Katarzynę Kawę, a w rankingu WTA puka do pierwszej dziesiątki (jest 13.), w środowym starciu 4. rundy „tysięcznika" China Open na twardych kortach w Pekinie (z pulą nagród 9,41 mln dolarów) z Igą Świątek nie miała za wiele do powiedzenia.

Wszystko działało

O sześć lat starsza Raszynianka kłopoty miała tylko w połowie drugiej partii, gdy przy prowadzeniu 2:0 przegrała trzy kolejne gemy. Ale szybko opanowała sytuację i po godzinie i 36 minutach pewnie wygrała 6:1, 6:3, awansując do ćwierćfinału. – Wszystko dzisiaj działało – przyznała Świątek po zwycięstwie. – Na pewno lepiej wykorzystywałam szanse, które dostałam. Byłam bardziej proaktywna. Może częściej zmieniałam kierunki, zamiast po prostu grać solidnie, byłam bardziej intensywna. Kiedy tego potrzebowałam, potrafiłam też grać długie wymiany i przechodzić do defensywy – dodała.

Iga zakończyła serię sześciu wygranych Jovic, która do Pekinu przyleciała w glorii triumfatorki turnieju WTA 500 w Guadalajara. Podopieczna Francisco Roiga awansowała do 31. w karierze ćwierćfinału turnieju rangi WTA 1000. Wśród aktywnych zawodniczek więcej ma tylko Aryna Sabalenka – 33.

– Mam wrażenie, że moja gra się poprawiła – oceniła Świątek, podsumowując swoją formę. – Kiedy wygrywasz, zawsze jest to zastrzyk pewności siebie. Oczywiście, czasami nie wszystko zależy od ciebie, ale wierzę, że to, co robię, ma sens w dłuższej perspektywie. Ale tenis jest trudny, bo poprzednie wyniki niczego ci nie zagwarantują, trzeba być gotową na każdy mecz – zauważyła Polka.

Lekcje od Novaka

Podczas treningu w Pekinie Świątek konsultowała się z Novakiem Djokoviciem, który we wtorek wygrał w stolicy Chin po raz siódmy w karierze, sięgając po swój 102. tytuł ATP.

– Novak jest GOAT-em (z ang. Greatest Of All Times – najlepszy wszech czasów, przyp. red.). Osiąga wyniki, które wydają się wręcz nadludzkie, a jednak udowadnia, że to możliwe. Jest tak zdeterminowany i zmotywowany, jest dla nas wzorem. Chciałabym, żeby mógł mnie jeszcze trochę dłużej uczyć gry na returnie, ponieważ uważam, że jest najlepiej returnującym graczem... Wszystko, co mówi, jest bardzo cenne. Jest też niezwykle otwarty. To nie był pierwszy raz, kiedy mogłam go o coś zapytać, zawsze chętnie dzielił się swoją wiedzą. Wspaniale jest widzieć zawodników, którym zależy na tym, by inni gracze również się rozwijali. Jest świetnym człowiekiem i bardzo to doceniam – skomentowała w rozmowie z Canal+ triumfatorka turnieju w Pekinie z 2023 roku.

Pierwszy raz z Coco

W piątkowym ćwierćfinale rywalką rozstawionej z „ósemką" Świątek będzie nieoczekiwanie Elise Mertens. Belgijka w środę pokonała rozstawioną z numerem 3 Coco Gauff 6:3, 6:3, wygrywając z Amerykanką po raz pierwszy po pięciu porażkach.

Trzecia w światowym rankingu Gauff nigdy nie żegnała się z Pekinem tak wcześnie – w 2023 roku dotarła do półfinału, rok później zdobyła tytuł, a w 2025 roku ponownie znalazła się w najlepszej czwórce. Co więcej – od Wimbledonu Gauff w każdym turnieju, w którym występowała, dochodziła co najmniej do półfinału. Ale w dwóch setach starcia z Mertens popełniła aż 34 niewymuszone błędy, w tym 8 podwójnych serwisowych! Mertens dedykowała sukces trenerowi i partnerowi w jednej osobie, Christopherowi Heymanowi, który w czwartek obchodzi urodziny.

Ze Świątek 30-letnia Belgijka przegrała dwie dotychczasowe potyczki, ostatnio zaś jej „przekleństwem" była Maja Chwalińska, której uległa w Roland Garros i w Singapurze. Świątek walczy o miejsce w WTA Finals, które w listopadzie odbędzie się w Indian Wells – na razie traci ponad 800 punktów do Karoliny Muchovej, 7. w rankingu Race

Koniec dla Mai

Środa była pożegnaniem z Pekinem dla Mai Chwalińskiej, która w parze z Nikolą Bartunkovą świetnie zaczęła – od prowadzenia 2:0 – spotkanie w drugiej rundzie z Czeszką Kateriną Siniakovą i Chinką Shuai Zhang. Ale potem najwyżej rozstawione rywalki dały polsko-czeskiemu duetowi surową lekcję, wygrywając 6:2, 6:1.

W rywalizacji singlistek Maja (21. WTA) była rozstawiona, ale odpadła już w pierwszym meczu (w 1. rundzie miała wolny los), przegrywając gładko z Ukrainką Dajaną Jastremską (3:6, 1:6). Bartunkova (34.) zaś rozgrywa „turniej życia" i w czwartek będzie bić się o półfinał z inną swoją rodaczką, wspomnianą już Muchovą (8.).

(ToM)

Hurkacz celuje, by zagrać z Djokoviciem!

Po trzech latach tenisista z Wrocławia wraca do miłego mu Szanghaju, gdzie zdobył jeden z największych tytułów w karierze.

2023 rok był jednym z trudniejszych dla Huberta Hurkacza, bo jego kariera zdawała się wyhamowywać. Po świetnym 2021 roku, gdy wygrał Masters 1000 w Miami i w półfinale Wimbledonu postraszył Novaka Djokovicia, w kolejnych miesiącach nie spełniał rosnących oczekiwań jako potencjalny wielkoszlemowy the mista (wielkoszlemowy mistrz).

W Australian Open i Londynie odpadał w 4. rundzie, w Roland Garros w trzeciej, a w US Open tradycyjnie nie przebrnął drugiej. W lutym co prawda wygrał halowy turniej niższej rangi (250) w Marsylii, ale zsunął się w rankingu z top 10 na 17. miejsce.

Podskoczył do ATP Finals

I wtedy w październiku poleciał do Szanghaju, gdzie niespodziewanie zdobył swój drugi tytuł w imprezie rangi Masters 1000, w finale pokonując siódmego wówczas w hierarchii światowej Andrieja Rublowa. Na jego konto spłynęło 1,26 mln dolarów. Potem „Hubi" poszedł jeszcze za ciosem, omal nie wygrał imprezy ATP 500 w Bazylei (przegrał w zaciętym finale z Felixem Auger-Aliassimem) i podskoczył na 9. miejsce, łapiąc się rzutem na taśmę jako rezerwowy do ATP Finals.



Fot. Wang Lili/Xinhua/PressFocus

Hubertowi Hurkaczowi trzeba życzyć, by przeżył znów tak wspaniałe chwile w Szanghaju, jak przed trzema laty...

Pół roku później doznał jednak pamiętnej kontuzji kolana na londyńskiej trawie, która praktycznie na dwa lata zachwiała jego karierą.

Ale druga połowa 2026 roku to mały renesans Hurkacza, czego wyrazem był niedawny finał ATP 250 w Chengdu i półfinał 500 w Pekinie, gdzie jednak znów nie dopisało zdrowie (uraz mięśniowy). Polak z otchłani 103. miejsca w sierpniu wspiął się już na 34.

W czwartek – początek około 8.00 polskiego czasu – powinien znów wyjść na kort w Szanghaju po trzech latach. Jego rywalem w 1. rundzie będzie Australijczyk James Duckworth (64.) i jeśli sobie z nim poradzi, to czeka go wielka nagroda, czyli „przełożone" spotkanie z Panem Tenisistą - samym Djokoviciem. 39-letni Serb przyleciał do Szanghaju opromieniony triumfem w turnieju ATP 500 w Pekinie, gdzie jego finałowym rywalem omal nie został Polak. Jak więc widać, droga do potencjalnego powtórnego sukcesu Hurkacza w Rolex Shanghai Masters (z pulą 9,41 mln dolarów) nie jest łatwa...

Thriller nie dla Majchrzaka

Niestety, w środę już w 1. rundzie odpadł Kamil Majchrzak. W trwającym trzy godziny i 12 minut thrillerze i po trzech tie-breakach, 70. w rankingu Piotrkowianin uległ nieco wyżej notowanemu (57. ATP) Niemcowi Yannickowi Hanfmannowi 7:6 (7-4), 6:7 (3-7), 6:7 (7-9). Wszystkie 36 gemów wygrywał zawodnik serwujący, tym samym w każdym z setów potrzebny był tie-break. Pierwszego na swoją korzyść rozstrzygnął Polak, który zaczął od wygrania pięciu piłek z rzędu. W drugim sytuacja się odwróciła. To Hanfmann szybko odskoczył na 4-1 i kontrolował sytuację.Idealnym podsumowaniem spotkania był tie-break decydującego seta. Po dziesięciu piłkach był remis 5-5. W kolejnych inicjatywę przejął Niemiec. Majchrzak obronił dwie piłki meczowe, ale trzeciej już nie dał rady...

(ToM)

MAJA KONTRA LINDA

■ Gdańsko-sopocka ERGO Arena stanie się 11 grudnia sceną największego tenisowego wydarzenia roku w Polsce. Podczas LOTTO Tenis Show finalistka Rolanda Garrosa, Maja Chwalińska, zmierzy się z mistrzynią Wimbledonu, Czeszką Lindą Nosková. Będzie to zwieńczenie kilkugodzinnego widowiska, w którym wcześniej na kort wyjdą m.in. Łukasz Kubot, Kamil Majchrzak, Jan Zieliński i Karol Drzewiecki.

- Cieszę się, że po tak intensywnym sezonie będę mogła wystąpić w naszym kraju i spotkać się ze wspaniałymi polskimi kibicami, których wsparcie czułam przez cały rok. Mecz z Lindą będzie wyjątkowym wyzwaniem oraz okazją, żeby podziękować fanom za energię, którą przekazywali mi podczas występów na całym świecie - mówi Chwalińska. Szczegółowy program wydarzenia (początek o 18.00) ma być znany w najbliższych tygodniach. Bilety będą dostępne w serwisie eBilet od czwartku od godziny 12.00.

(t)

Sport 28ccbaf39c



Zmierzyć się z mistrzem

Adrian Meronk rozbił bank, wygrywając na Old Course w St Andrews. Tuż przed wylotem do Szkocji zajrzał do Wrocławia, by kibicować podczas 5 Stars Junior Cup by Adrian Meronk!

To był prawdziwy maraton najlepszego polskiego golfisty, dla którego Alfred Dunhill Links Championship, gdzie wyszarpał już piąte trofeum DP World Tour, był szóstym rozgrywanym turniejem z rzędu na DP World Tour i siódmym kolejnym tygodniem rywalizacji, biorąc pod uwagę LIV Golf Indianapolis. Teleportując się z Paryża, ze słynnego Le Golf National, mimo całego zmęczenia i szalonej pogoni za tak potrzebnymi punktami rankingowymi Race to Dubai, znalazł czas na to, by jako patron turnieju dopingować rozkochanej w nim małej armii juniorów i juniorek, którzy przyjechali na finałowy turniej 5 Stars Junior Cup.

Niemal cały Adrian

Pogoda była wymarzona. Na starcie stawiło się 104 zawodników i zawodniczek, gotowych na trzy dni rywalizacji we Wrocław Golf Club, w którym hartowała się stal, gdzie również od juniora wychowywał się Adrian. W poprzednich latach rozgrywał z każdą grupą juniorów dołek czternasty, a później była jeszcze sesja pytań i odpowiedzi. W tym roku, ze względu na ultra napięty grafik, jego udział w imprezie musiał zostać skompresowany. Przyjechał na pole pierwszego dnia rywalizacji, by rozegrać z juniorami konkursy na driving range, ale także porozmawiać z nimi, pozbijać piątki, przybić żółwiki, rozdać autografy i zrobić mnóstwo wspólnych zdjęć. Jego obecność, jak zawsze, wzbudziła poruszenie wśród młodzieży i była bardzo motywująca. Przez kolejne dni uczestnicy tego spotkania bez końca opowiadali o swoich wrażeniach. W konkursie na najbliższe uderzenie od flagi na driving range, oglądanym i komentowanym przez Adriana, w kategorii U10 zwyciężył Jakub Bogdanowicz, a wśród starszych juniorów, którzy grali z nieco większej odległości, zwycięzców było dwóch: Michał Rzepka i Michał Tomolik. W poniedziałek Adrian udał się na czternasty dołek, gdzie jego zadaniem było zagranie jak najbliżej flagi – ustanowienie celu w konkursie Beat the Pro dla juniorów walczących na polu drugiego dnia. Okazało się, że do pokonania było 185 cm, czyli niemal „cały Adrian", który ma skromne 197 centymetrów wzrostu. Najlepiej z tym wyzwaniem poradziła sobie Pola Konopka, która literalnie pokonała Adriana, sadowiąc piłkę na imponujące 85 centymetrów! Wśród dzieci U10 konkurs ten rozegrano trzeciego dnia na drugim dołku małego pola. Odległość do pobicia również ustalił Adrian – na 226 centymetrów – a zwyciężył w nim Maksymilian Kapałka z wynikiem 336.

Były wzloty i upadki

Nie było łatwo na poniedziałkowej rundzie, podczas której nikt nie złamał par. Wśród uczestników grających w klasyfikacji WAGR najbliżej tego był Marcin Bogusz z Armada Golf Club, który zanotował 73 uderzenia. Dwa strzały więcej miał Michał Giza z Kraków Valley, a rundę 76 przywiozło czterech zawodników: Michał Augustyn, Jan Pawluczuk, Kostek Łuczak i Antek Fijałkowski. Dopiero we wtorek pękł par, kiedy to Konstanty Łuczak z Open Golf Club popisał się rundą 70 i w klasyfikacji WAGR wysunął się na jedno uderzenie przewagi przed Marcinem Boguszem z 74. Trzy strzały więcej miał Antek Fijałkowski z Sobieni Królewskich oraz lokalny matador – Michał Augustyn. Trzecia runda umocniła prowadzenie Kostka, a wisienką na torcie był spektakularny eagle na szesnastce i najlepszy wynik turnieju: 69 uderzeń. Zajął on również pierwsze miejsce w klasyfikacji U25. Marcin Bogusz, który wymęczył trzeciego dnia rundę 84, wylądował na najniższym stopniu podium. Miał on co prawda tyle samo uderzeń co Michał Augustyn, ale o ostatecznej klasyfikacji zadecydowały ostatnie dołki i to Michał zajął drugą pozycję. Kostek powiedział po wszystkim: - Grałem całkiem dobrze, biorąc pod uwagę, że trenuję już mniej z uwagi na szkołę. Pierwszy dzień można powiedzieć, że dopiero się rozgrzewałem, a później grałem już po prostu dobrze. Ten sezon był najlepszy w moim życiu. Były wzloty i upadki, ale było kilka bardzo dobrych startów i jestem z sezonu bardzo zadowolony. Dzisiaj na pewno pomogło trafienie chip-ina na eagle'a, a poza tym wszystko było porównywalne w mojej grze. Na drugim miejscu w klasyfikacji WAGR znalazł się Antoni Fijałkowski, który po pierwszej nie do końca udanej rundzie 76, przez kolejne dwa dni grał równo po 74. To wystarczyło, by uplasować się w klasyfikacji WAGR za Łuczakiem. Antoni zajął także pierwsze miejsce w klasyfikacji U18. Dwa uderzenia więcej zanotował Litwin Kajus Pacauskas, a trzeci stopień podium wśród zawodników poniżej 18 lat należy do Jana Pawluczuka.

Naładowany pozytywną energią

W klasyfikacji WAGR dziewcząt od pierwszego dnia na prowadzeniu była reprezentantka Śląskiego Klubu Golfowego – Zuzanna Mordaka, która w pierwszej rundzie zagrała 76 uderzeń. Tuż za nią, z dwoma uderzeniami więcej, znalazła się lokalna wojowniczka Hanna Szermach. Drugiego dnia Zuzia zagrała o jedno uderzenie więcej niż Hania, ale nadal prowadziła. W finałowej rundzie zdecydowanie lepiej poradziła sobie Zuzia, grając +2, i tym samym zajęła pierwsze miejsce. Druga była Hania Szermach, a trzecia Julia Fijałkowska. - Pole było bardzo dobrze przygotowane, a pogoda dopisywała przez wszystkie dni – opisywała wrażenia Julka. - Adrian przyjechał w poniedziałek i mam nadzieję, że naładowaliśmy go pozytywną energią na turniej w Szkocji, który wygrał. Zajęłam drugie miejsce w kategorii U25, lecz pierwsza runda nie należała do udanych. Panowała miła atmosfera i mam nadzieję, że uda mi się przyjechać na ten turniej w kolejnym roku.

We Wrocławiu rywalizowała również reprezentantka Sobieni Maja Malke, która co prawda nie wygrała, jednak i tak dobrze się bawiła: - Grało mi się bardzo dobrze. Dużym plusem była pogoda, która przez trzy dni była idealna, panowała też świetna atmosfera. Ciekawym elementem były konkursy dodatkowe, między innymi na driving range'u oraz Nearest to the Pin na 14. dołku, gdzie można było porównać swoje uderzenie z wynikiem Adriana z poprzedniego dnia. Cały turniej był bardzo dobrze zorganizowany, a pole i greeny były w świetnym stanie. Dodatkowo każdy mógł liczyć na fajne upominki.

Trzymając kciuki

Dobre wyniki zanotowali także zawodnicy grający w grupie U14, którzy grali z żółtych tee. Adam Golimento zagrał pierwszego dnia +1, a potem dwie kolejne rundy po 77 i tym samym zwyciężył w tej klasyfikacji. Drugie miejsce zajął Mateusz Micewski, a trzecie Krzysztof Bereszyński. Lena Szymańska była bezkonkurencyjna wśród dziewcząt U14. Pierwszego dnia zagrała jedno uderzenie powyżej par, a w kolejnych rundach 76 i 77 uderzeń. Dało jej to dużą przewagę nad drugą w tej klasyfikacji Polą Konopką. Trzecie miejsce zajęła Tatiana Osiecka. W grupie U12 chłopców najlepiej poradził sobie Mateusz Niedworok, który po trzech dniach zdobył sporą przewagę nad pozostałymi zawodnikami. Drugie miejsce zajął Jan Styczek, a trzecie, z jednym uderzeniem straty do Janka – Dominik Klepacki. - Z wielką niecierpliwością wyczekiwałem finałowego turnieju 5 Stars, który odbył się na moim rodzinnym polu – relacjonował mistrz US Kids European Championship ze Szkocji. - Pogoda dopisała znakomicie, zapewniając jak na koniec września fantastyczne warunki do gry. Pole zostało bardzo dobrze przygotowane, a brawa należą się greenkeeperom za wybitnie szybkie greeny, przypominające te z pól w Szkocji czy USA. Udało mi się zakończyć sezon w Polsce na wysokim, trzecim miejscu, z czego ogromnie się cieszę. Jak co roku finał tej serii był także okazją do spotkania z Adrianem Meronkiem. W tym sezonie dołączył on do nas tylko na pierwszy dzień turnieju, kiedy to po rundzie wzięliśmy udział w jego konkursie – strzale na green treningowy ze 121 metrów. Wszyscy wiedzieliśmy, że prosto z Wrocławia wylatywał na kolejny turniej DP World Tour w Szkocji. Sam mam ciepłe wspomnienia ze swoich tegorocznych występów na szkockich polach, dlatego czułem, że i dla Adriana będzie to udany start. W niedzielne popołudnie oglądałem całą jego finałową rundę w telewizji, mocno trzymając kciuki i ciesząc się z jego zwycięstwa na Old Course St Andrews.

W klasyfikacji dzieci pierwsze miejsce zajął Jerzy Haiduk, a drugie, z dwoma uderzeniami straty – Gabriela Kućko. Trzecie miejsce należy do Henryka Probierza.

Paryż – Wrocław – St Andrews – Madryt

To był ostatni w tym sezonie turniej cyklu 5 Stars Junior Cup by Adrian Meronk. Następny wystartuje już wiosną. Patronem wydarzenia będzie oczywiście Adrian Meronk, który po swoim wielkim zwycięstwie w Szkocji postanowił kuć żelazo, póki gorące, i udał się na kolejny turniej DP World Tour – Open de España presented by Madrid. W swojej kolekcji ma już trzy tytuły Open, zdobyte w Irlandii, Australii i Włoszech, więc Hiszpania bardzo pasowałaby do tej kolekcji. - Zastanawiałem się, czy chcę startować w tym tygodniu, ale dobrze mi się grało, więc lecę do Hiszpanii, potem do Indii, a dopiero po tych turniejach zrobię chwilę przerwy – mówił dla Polskiego Związku Golfa. - Zwycięstwo daje mi dużo większą pewność siebie. Wcześniej byłem pod ścianą, teraz mogę grać z wolną głową, ale chciałbym piąć się w rankingu, aby być w TOP 20 i dostać się na The Open.

Warto dodać, że The Open w 2027 roku rozegrany zostanie w miejscu, w którym właśnie wygrał Alfred Dunhill Links Championship! Wydarzenia z Madrytu transmitować będzie od czwartku Polsat Sport, a w godzinach mocno porannych Golf Zone pokazywać będzie turniej Ladies European Tour – Aramco Korea Championship z udziałem Doroty Zalewskiej.

Kibicujemy!

Kasia Nieciak



Zdjęcia: Marek Darnikowski/5 Stars by Adrian Meronk

Adrian Meronk inspiruje!

Sport 28ccbaf39c

WYMIANA KOSZULEK

Wojciech Kuczok



Trza się modlić, nie **trenować**

Jak sobie człek drogę jako cel obrał w życiu, jak się podróżom oddaje, włóczęgę przedkładając nad inne rozkosze, to czasem nie ma jak obejrzeć meczu, choćby nie wiem jak się wytężał. Na przykład kiedy się wybierze na terytorium Brytoli, którzy w czerwcu obchodzili dziesiątą rocznicę aktu zbiorowego kretynizmu, zapisanego pośród najbardziej wstydliwych kart historii pod nazwą brexit. Wyjeżdżasz z Unii, do dziesiątek niedogodności i upierdliwości rozmaitej skali dołącza i ta: z powodów licencyjnych wszystkie kanały na swoich urządzeniach masz poblokowane, żadnej transmisji z Europy nie ogarniesz. Byłem wściekły, bo mecze kadr Brzęczka i Urbana przypadły akurat na moją przeprawę promową na Islay, królową Hebrydów - co z tego, że WiFi darmowe, necik hulał, jak mi TVP Sport wyświetlało tylko komunikat, że jestem w niewłaściwej lokalizacji.

Nawet gdybym chciał się wyzłośliwić na selekcjonerze, w język się ugryzę po tym, jak zobaczyłem modus operandi telewizyjnej szczujni, przeniesiony na salę konferencyjną. Standardy medialne chcą wyznaczać dzisiaj ekstremiści, a media głównego nurtu muszą równać w dół, żeby nie stracić poklasku. Przemoc w treści, przemoc w formie, podzielony naród już innego dziennikarstwa nie uznaje, bez kłótni spada oglądalność.

Oglądać, jak nasi chłopcy się dają demolować Włochom, a potem nasi mężczyźni nie potrafią przywieźć nawet remisu z Bośni, nie musiałem, upokorzenia mi oszczędzono, pozostało rozczarowanie i wstyd, czyli uczucia na stałe przypisane do losu polskiego kibica piłkarskiego.

Owóż, z każdą minutą meczu, śledzonego w relacji tekstowej, mój gniew się w ulgę przeobrażał. Oglądać, jak nasi chłopcy się dają demolować Włochom, a potem nasi mężczyźni nie potrafią przywieźć nawet remisu z Bośni, nie musiałem, upokorzenia mi oszczędzono, pozostało rozczarowanie i wstyd, czyli uczucia na stałe przypisane do losu polskiego kibica piłkarskiego. Co do pierwszej reprezentacji nie miałem złudzeń i nie zmienił tego fakt, żeśmy żałośnie słabych Rumunów grających przez 70 minut w dziesiątkę zlali rekordowo wysoko. Ten wynik miał równie znikomą wartość, co odniesione w bliźniaczych okolicznościach zwycięstwo kadry Probierza z Estonią w półfinale baraży o Euro – kilka dni później okazaliśmy się całkiem bezzębni w Cardiff, a awans kosztem Walii załatwił nam czyniący cuda w bramce Wojtek Szczęsny. Teraz też skończyłoby się październikowym remisem bez goli z przeciętnym rywalem, gdyby nie Bednarek i jego cecha nieuleczalna – choćby był w życiowej formie, w każdej potyczce kadry choć raz musi coś trefnego zmajstrować. Tym razem złapał i przewrócił w polu karnym napastnika rywali. Trener Urban obwiniał sędziego zamiast naszego stopera; ja tego nie kupuję, bo karny był ewidentny, w ferworze walki mogło to arbitrowi umknąć, ale powtórki, do których post factum i ja mam dostęp na tych cholernych Wyspach, nie pozostawiają złudzeń. Liga Narodów została zawalona, podobnie jak eliminacje do Euro, przy całej sympatii do Jana Urbana nie można nie zauważyć, że jeśli ta kadra od czasów Probierza poczyniła postępy, to dostrzegalne są jedyne dla oka uzbrojonego w mikroskop; wyników jak nie było, tak nie ma, a za poprawę atmosfery w reprezentacji punktów nie przyznają.

Lecz nawet gdybym chciał się wyzłośliwić na selekcjonerze, w język się ugryzę po tym, jak zobaczyłem modus operandi telewizyjnej szczujni, przeniesiony na salę konferencyjną. Standardy medialne chcą wyznaczać dzisiaj ekstremiści, a media głównego nurtu muszą równać w dół, żeby nie stracić poklasku. Przemoc w treści, przemoc w formie, podzielony naród już innego dziennikarstwa nie uznaje, bez kłótni spada oglądalność. O ile jednak wciskanie mikrofonu pod nos i ganianie za politykami, którzy nie mają ochoty na rozmowę stało się normą, o tyle ten prostacki sposób indagowania selekcjonera kadry narodowej wydał mi się szczególnie odpychający. Urban, człowiek dużej kultury i anielskiej cierpliwości, żulikowi z TV Republika odpowiedział tylko łagodnym „Nie tak, nie tak...", kiedy się nasłuchał bredni o braku honoru i woli. Jako, że w dzieciństwie i wczesnej młodości było fanem twórczości Grzegorza Ciechowskiego, na piersi dumnie nosiłem plakietkę w czarno-białe ukośne pasy z nazwą ulubionego zespołu, żywię szczególny wstręt do oszołomów i kanalii, którzy mi dzisiaj tę nazwę zawłaszczyli do miotacza prawackich wymiocin.

Prostacki sposób indagowania selekcjonera kadry narodowej wydał mi się szczególnie odpychający. Urban, człowiek dużej kultury i anielskiej cierpliwości, żulikowi z TV Republika odpowiedział tylko łagodnym „Nie tak, nie tak...", kiedy się nasłuchał bredni o braku honoru i woli.

Wracając do kwestii czysto sportowych – wygranym tego feralnego zgrupowania bez wątpienia był Wiktor Nowak, człowiek, któremu nawet największy bęcwał nie mógłby odmówić „cech wolicjonalnych". Powiedzieć, że młody pomocnik praskiej Slavii się nie oszczędzał, to nic nie powiedzieć – problem w tym, że w związku z tym wystarczało mu sił mniej więcej na godzinę gry. A kiedy gasł Nowak, siadała gra całej drużyny. Być może mielibyśmy dodatkowy punkt i więcej niż matematyczne szanse na wygranie grupy, gdyby trochę nam pomógł „piłkarski Bóg", ale ten według Jerzego Brzęczka zajęty był kadrą U 21. Roboty miał co niemiara, skoro musiał najpierw młodych polskich piłkarzy ostrzec, pokazać, sprawdzić, a potem dojść do wniosku, że w dziewięciu poprzednich meczach jednak zasłużyliśmy na awans. A zatem klęska 2:6 z Włochami była nieunikniona, taki był po prostu zamysł Boga, nie ma co winić zawodników, że nie podjęli walki. Awansowaliśmy na młodzieżowe Euro, bo Bóg tak chciał. Oby tylko Brzęczek nie chciał na Euro stosować zmodyfikowanej metody Janusza Wójcika – zamiast „Tu trzeba dzwonić, nie trenować", „Tu nie ma co trenować, tu się trzeba się modlić".

Awansowaliśmy na młodzieżowe Euro, bo Bóg tak chciał. Oby tylko Brzęczek nie chciał na Euro stosować zmodyfikowanej metody Janusza Wójcika – zamiast „Tu trzeba dzwonić, nie trenować", „Tu nie ma co trenować, tu się trzeba się modlić"



Fot. Krzysztof Porebski / PressFocus

Pewnie pomoc Opatrzności polskiej młodzieżówce się przyda, ale treningów nie zastąpi. Na razie więc ręce składać trzeba tylko do oklasków, a nie do modlitwy...

Sport 28ccbaf39c